Świat Kobiecy

N-R 6 15 MARCA 1931 R. ROK XI



ŚWIAT KOBIECY

WYCHODZI 1 i 15 KAŻDEGO MIESIĄCA — N-R 6 — ROK XI — WARSZAWA — LWÓW — 15 MARCA 1931 ROKU

O KASI Z „KLEJNOTÓW"

W OSTATNIEJ swej powieści, „Klejnotach", poruszył Perzyński sprawę niezmiernie dziś aktualną i emocjonującą, tak, że wysuwa się na czoło utworu: sprawę zarobkowania kobiety zamężnej. Sprawę wciąż jeszcze otwartą i wcale nie tak łatwo rozwiązalną.

Kasia Olecka jest córką t. zw. kobiety światowej o zaśmieconej głowie i bezczynnem sercu, sprytnej a płytkiej snobinety, żyjącej w małej części z jakichś własnych, bliżej nieokreślonych dochodów, z jakiejś renty — a głównie z pieniędzy swego ex-amanta, które bierze bez skrupułu. Kasia jest diametralnem przeciwieństwem matki. Utrzymuje się z lekcyj tak umiejętnie, że nadwyżkę swych dochodów oddaje nawet aberacyjnie rozrzutnej matce (niema to jak finanse w powieści!). Mając nareszcie wyżej uszu domowego régime'u, ucieka — jak się wyraża Perzyński — „od swojej sfery, głupich snobów, przeżytków szlachetczyzny, idjotycznej arystokracji, którzy jej obrzydzili świat" — w poszukiwaniu jakichś „prawdziwych" ludzi. Znajduje posadę ogrodniczki w majątku Zalesie pod Warszawą i pracuje z zapałem, doprowadzając do rozkwitu i wydajności zachwaszczony ogród, zresztą ku zupełnemu *désintéressement* swej chlebodawczyni. Niebawem, zaledwo praca jej, po żmudnych początkach, zaczęła wchodzić na normalne tory, Kasia wskutek sprzedaży majątku traci posadę i przenosi się do nędznej „kolonijki" byłego rządcy Zalesia, Węgrzyńskiego, ongiś ziemianina, którego bolszewicy w straszny sposób pozbawili rodziny i majątku. Na tej posesji gospodarują oboje rok, żyjąc jak nędzarze, poczem Węgrzyński sprzedaje posiadłość, będącą już we wzorowym stanie, głównie dzięki usilnej pracy Kasi, która następnie poślubia z miłości bogatego właściciela firmy jubilerskiej, a później dyrektora fabryki (kupca i przemysłowca), Tarnińskiego.

Hic Rhodus! Kasia ani grosza nie chce przyjąć od swego męża („Andrzej jest zamożny, ja nie"), postanawia nadal zarabiać, a ponieważ fachem jej jest ogrodnictwo, przeto niełatwo jej znaleźć zajęcie w Warszawie. Dostaje je w okolicy — tak, że tylko na niedzielę dojeżdża do domu męża (bo to nie jest j e j dom), któremu płaci za wikt. I to jeszcze w taki sposób:

— ...Zapłaciłam Andrzejowi za miesiąc naprzód za moje jedzenie z tych pieniędzy, które dostałam... za meble, a mieszkanie odrabiam lekcjami z Robertem (pasierbem). Pan wie — powiada do Węgrzyńskiego — że ja mam skromne wymagania. Oni tam jadają różne frykasy, ale ja tego unikam. Byłam dwa razy z Andrzejem w teatrze na galerji i nic sobie z tego nie robię, jak jego matka desperuje, że taka jestem obdarta.

Muszę wyznać, że gdybym była mężem takiej żony, znienawidziłabym ją bardzo prędko. Cóż za głupie fanaberje ma ta Kasia! Niedosyć, że płaci za wikt, ale jeszcze jada przy wspólnym stole osobną kaszę — szkoda, że nie na osobnej podartej (ale czysto upranej!) serwecie. Ciągnie tego biednego Andrzeja bez żadnej realnej potrzeby na galerję — a on jest na tyle fujarą, że tam za nią idzie. Znałam taką parę małżeńską w której znowu żona była stroną bogatą i ona siadywała w teatrze na pierwszych fotelach, on zasię z dumy pędził na banty. Bardzo przyjemnie!

Warto też czytać opis ślubu tej Kasi. Akcesorja i ceremoniał były jej pomysłu. Panna młoda w starym wypranym kostjumie i w białej płóciennej bluzce z czarną(!) krawatką czekała w towarzystwie Węgrzyńskiego na przyjazd narzeczonego. Matka jego przeżywała ten ślub arcyboleśnie. „Ta narzeczona, wyczekująca na chodniku na przyjazd pana młodego, wśród dziadów, przed straganem z dewocjami, budziła w niej uczucie ciężkiego i niesmacznego wstydu... Chwila, w której Tarnińska musiała stać razem z nimi pod kościołem, sprowadziła jakiś gwałtowny przełom w jej duszy. Całe życie jej dotychczasowe rozwiało się nagle we mgle i czuła, że już nigdy nie odzyska dawnej wartości... Nadludzkim wysiłkiem woli powstrzymała się od płaczu."

Rozumiem dobrze intencję Perzyńskiego, czy też tej Kasi: jest to robione na złość snobizmowi, jako jego przeciwwaga. Ale jakież to bezwartościowe, jakie studenckie! Czy może raczej — jakie bolszewickie! Przecież to bolszewizm stara się wyzuć życie z wszelkiego tradycyjnego piękna. Współczujemy serdecznie starszej pani Tarnińskiej, my wszyscy, którzy nie chorujemy na snobizm bezwzględnej nowości. Nie dziwimy się sędziwej damie, gdy z nieufnością przygląda się Kasi. My też napróżno szukamy w niej arcyludzkiego pierwiastka. Widzimy jej namiętność pracy i na tem koniec. Ale motoru tej namiętności nie znamy. Jej gesty życiowe oglądamy jakby przez grubą szybę. Papierowa osoba z tezą — nie człowiek, nie pełny twór artystyczny.

Dziwny to konglomerat! Serce ma niby dobre — ale głowę „pryncypialną". Stąd płynie zaznaczony już wyżej egoizm, beztakt, ciasnota i małostkowość. Bo to

wystrzeganie się jak ognia wszelkiej elegancji, to wzdraganie się przed przyjęciem czegokolwiek od męża jest wielce nierozumne. Jestto przytem, jak słusznie zauważyła pewna osoba, odznaczająca się wyjątkową inteligencją serca, w swoim rodzaju ubóstwienie złotego cielca. Czyż pieniądze są najważniejsze, tak ważne, że dla nich warto ranić na każdym kroku uczucia ukochanego człowieka? A jeśli te pieniądze mają być w życiu tylko zawadą, to lepiej je w takim razie wyrzucić przez okno.

W teoretycznem rozsądzeniu tych spraw jest sporo doktrynerskiej naiwności. Kasia oświadczyła Tarnińskiemu przed ślubem, że jeśli się nie zgodzi na taki typ jej niezależnego życia, to ona zostanie jego kochanką, bo wtedy będzie mogła mieszkać osobno. Uważa — zupełnie słusznie — że za miłość nie bierze się pieniędzy. Macierzyństwo odsuwa na czas, kiedy sobie tyle zarobi, by mogła parę miesięcy nie pracować, a potem pomagać mężowi materjalnie w wychowaniu dziecka. Na propozycję Tarnińskiego, by się zajęła domem, odpowiada, że prowadzenie domu przy pomocy służby, zabiera pół godziny czasu dziennie. Zrozpaczony Tarniński błaga matkę, by ten aparat do pracy (Kasię) czemś zajęła w domu — bez ustanku. Okazuje się, że dawanie lekcyj pasierbowi, wywijanie szczotką, codzienne robienie generalnych porządków, jeszcze nie wypełniłoby jej szczelnie całego dnia. Możeby, broń Boże, zostało jakieś pół godziny na przeczytanie książki lub gazety. Trudno o absurdalniejsze postawienie kwestji. Ze środka czyni się cel.

Słusznie pisze Nałkowska, że po tę Kasię „trzeba było sięgać aż do Orzeszkowej czy Rodziewiczówny. Bo w tej ultra-dzisiejszej pannie wskrzeszone są jakieś organy szczątkowe zalet moralnych. Jako akcesorja niezłomnego charakteru widzimy zdarte od roboty paznokcie, wykręcone od uczciwości obcasy i bluzeczki brudne od cnoty."

Nałkowska wspomina o tem, że całe grupy młodzieży uważają ten pomysł za apostolstwo nowoczesnej kobiety. Bardzo smętna jest taka nowoczesność — z domem nakształt hotelu, z dziećmi, znanemi z widzenia, z mężem „dochodzącym". Bolszewicy, w chytrem zrozumieniu psychiki ludzkiej, budują domy bez kuchen. Ten zdawałoby się mechaniczny i powierzchowny sposób, jest wielce celowy i głęboko wnikający w życie.

Praca zarobkowa kobiet zamężnych jest ciężkim problemem, zwłaszcza dla kobiet, mających dzieci. Tam, gdzie ona jest koniecznością finansową, niema co dysputować. Kobieta jest wówczas przeciążona pracą, dźwiga obowiązek podwójny w porównaniu z mężczyzną — a i tak dom puszczony jest samopas, bo tyle rzeczy naraz robić porządnie nie sposób. O tem zaś, by, będąc ośm godzin poza domem, móc wzorowo wychować dzieci, niema absolutnie mowy! (Gdy dziecko śpi, nie potrzebuje edukacji.) Dlatego, jeśli to zarobkowanie nie jest koniecznością, staje się krzywdą dla dzieci — nietylko dla zupełnie drobnych, ale i dla starszych, w wieku szkolnym. Do tego, kto dogląda cudzych dzieci, a swoje zostawia na łasce losu i bony, odnoszą się właśnie słowa Pisma: „Niedobrze jest odejmować dzieciom, a miotać psom!" *

Zdejmowanie z mężczyzny obowiązku utrzymania rodziny nie jest zgoła reformą rozumną. Kobiety, które o to walczą, które ładują na barki kobiet (podobno fizycznie słabszych...) trud podwójny, które zamieniają je w bydło robocze — zaprawdę, nie wiedzą, co czynią!

Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że „życie nie jest romansem", że trafia się aż nadto często na ludzi o grubej skórze, na kutwy, na marnotrawców (to czasem wychodzi na jedno), którzy nie głowią się nad tem, w jaki sposób ta żona ma związać koniec z końcem budżetu domowego. A już takich, którzyby uznawali (i to w praktyce), że tej żonie, jak każdemu dorosłemu człowiekowi należy się jakaś kwota, do której miałaby osobiste, nieograniczone prawo, do którejby się jej nikt nie wtrącał — tak, jak (przepraszam za porównanie) nie wtrąca się do osobistych wydatków służącej — takich trzeba szukać ze świecą. Amerykanki biorą od mężów pensję za pracę domową i nie można zaprzeczyć, że jest to racjonalne. Wątpię jednak, by to u nas mogło się przyjąć. Jest to bądź co bądź sposób trochę sztuczny. Możnaby może zabezpieczyć pewien procent dochodów męża jako osobistą własność żony. Możnaby... Trudno to tak odrazu wymyślić i sformułować. Wiadomo przytem, że i najmędrsza ustawa wymaga dopiero praktyki. I że najmędrszą ustawę można obejść. I że na głupotę niema lekarstwa. I że wszystkich odcieni narowów nie sposób przewidzieć.

Ja uważam, że w małżeństwie pieniądze powinny być wspólne, a nie wyliczane i że ta, która dba o cały dom, spełnia zpewnością pracę równie doniosłą, jak ten, który dostarcza pieniędzy. A zpewnością znacznie bardziej męczącą. Bo to, co mówi Kasia, że na prowadzenie domu wystarcza pół godziny dziennie — to jest opowiadanie ślepego o kolorach. Wybaczmy jej — Perzyński nie znał się na tem wcale. Jakkolwiek — w innem miejscu zauważa znowu, mówiąc o starszej pani Tarmińskiej, że gdy po sprzedaży sklepu zajęła się domem, stracił on dawny wyraz martwoty. A przecież była w nim liczna służba!

Jeżeli małżeństwo nie może sobie wzajemnie pomagać materjalnie, jeżeli strona zasobniejsza nie może użyczyć pomocy tej, która ma mniej środków, jeżeli dom przyszły ma wyglądać, jak dom Kasi z „Klejnotów" — najlepiej odrazu i radykalnie zwinąć tę całą instytucję. Jest w niej dziś dużo krzywizn i zbutwiałości — ale taka odmianka niczego nie sprostuje ani nie uzdrowi.

A ciekawe, coby też opowiedziało dziecko Kasi z Oleckich Tarnińskiej — gdyby chodziło po świecie.

IDA WIENIEWSKA

---

* A oto ilustracja: ostatnio przyniosły pisma wiadomość o tragicznym wypadku w Piastowie pod Warszawą. Matka, p. Jazłowiecka, udała się jak codzień do Warszawy, gdzie miała posadę. Czteromiesięczną córeczkę zostawiła pod opieką dwu starszych dziewczynek, z których jedna liczyła lat cztery, a druga pięć. Za powrotem zastała dziecko martwe. Autopsja zwłok wykazała otrucie. Okazało się, że „opiekunki", chcąc dać dziecku lekarstwo, by nie płakało, uraczyły ją esencją octową. Ale niezależność finansowa została szczęśliwie uratowana!

PŁYWAKI I MAGIKI

JĘZYK poetycki danej epoki musi być odpowiednikiem artystycznym najgłębszej treści bieżącego życia. Otóż w tem sęk, że nie każdy ze współcześnie piszących chwyta akurat tę właśnie treść najgłębszą. Wielu wodzi za nos szczegół, choćby bardzo ważny, ale przecież nie wyczerpujący do dna zagadnienia dzisiejszości. W poszukiwaniu za nowoczesnym kolorytem artystycznego wyrazu jedni powiedzieli sobie, że dzisiejszość to bajeczny rozwój techniki, to coraz bardziej postępująca maszynizacja życia. W tej myśli zapełnili rekwizytornię stylistyczną składowemi częściami przeróżnych maszyn, barwą, linją i dźwiękiem wielkiego, fabrycznego miasta. I nuże z tego nowego artystycznego bric-à-bracu czerpać pełną dłonią w porę i nie w porę, — w porę, kiedy któryś chce oddać wierszem szczegół symfoniczny takiego miasta właśnie, nie w porę, kiedy np. poeta siedzi sobie cichuteńko na turni Kościelca, aż tu nagle radjo-aparat nadawczy duszy jego zaczyna wysyłać eteryczne fale odwiecznej tęsknoty na antenę niebieską rozpiętą na gwiazdach, a gdzieś świstak zaskrzypiał niby koło tramwaju na zakręcie szyn, a gdzieś tęcza wykwitła na niebie niby transmisyjny pas. Otóż to jest czyste poetyckie kłamstwo, pour épater le bon bourgois. Zapewne, w kapryśnej wyobraźni naszej może skojarzyć się wszystko, nawet słońce z porcją łososia na zimno, myśl niekontrolowana wolą hasa sobie jak cielak wypuszczony na łąkę, tędy i owędy, ni przypiął, ni przyłatał, usiłowano nawet tworzyć superrealistyczny film nakręcony z takich właśnie cielęcych skoków wyobraźni — ale to, na miły Bóg: — nie jest sztuka, bo sztuka jest aktem woli świadomej, świadomem konstruowaniem, selekcją, porządkowaniem chaosu, bo przenośnia poetycka, tylko wtedy jest uczciwie poetycka, kiedy jest wynikiem poważnego przeżycia wewnętrznego a nie żonglerstwem naciąganych, wypoconych podobieństw.

Inni znowu widzą duszę epoki w sporcie i stąd owe poetyckie pływaki dające nurka z tramboliny księżyca w bezmiar niebieskich przestworzy, przecinające je czawlem, albo stylem klasycznym, raz brzuchem na dół, raz brzuchem do góry, poetyckie skoczki śmigające na nartach po stokach szklanej góry wyobraźni, poetyckie boksery bijące w czytelnika ciosem sierpowym aż legnie ogłuszony w nieprzytomnym knock-aucie. Są to zresztą sympatyczni chłopcy i miłe dziewuchy, zwłaszcza jeśli żyją sportem naprawdę, tyle tylko, że często krążek olimpijskiego dyska zasłania im pełnię współczesnego życia i widzą tylko jego część i to nienajważniejszą. Za to grubo niesympatyczni są ci, którzy, w przekonaniu, że przyłapali duszę współczesności na gorącym uczynku wszelakiego brutalizmu, poczęli zbyt wykwintny, przerafinowany język liryczny popieprzać „grandą”, kazali mu się wykrzywiać w „mordzie”, człapać w „buciorach”, oblizywać „chryją” aż „wdepnął” w uliczne baciarstwo. Niby, że to odpowiednik mającej nastąpić rewolucji socjalnej, brutalnie walącej podkówką zbłoconego obcasa w subtelne ciało leżakującego burżujstwa. — Ale ci wszyscy chwytają przynajmniej jeden szczegół ważny współczesności, tyle, że go uogólniają zanadto i że ich często uwodzi zewnętrzność zjawisk. Gorzej z tymi, którzy w epoce dzisiejszej żywo przypominającej okres rewolucji francuskiej, a więc okres gruntownego rozczarowania do wartości cywilizacyjnych rokokującego mieszczaństwa (w sensie urbanistycznym) epokę wołania o powrót do prostej, niezamydlonej żadnem łgarstwem natury, — którzy, powiadam, w takim czasie sznurują styl do omdlenia gorsecikami nienaturalnego obrazowania i puszczają go w pas menuetowe w nadętej krynolinie frazesu. Dekadenty, spadłe „z byka” pajace. Bo dla jednych wizja kobiety ma pierś, nieprzymierzając, „stromą”, (w tym wypadku może to jeszcze czkawka formizmu z jego figurami kobiet przypominającemi wierzchołki turni tatrzańskich) inny omdlewa na widok „strzelistych” przegubów rąk najukochańszych, inny rozpływa się w „spiętrzonej fali bioder”, tamten zerknął, pomlaskując językiem na „lipowy miód” dziewczęcego karczku, tamtem mruga „pierożkami powiek”, ten się „śmieje gamą septimową” a nad wszystkimi ciągnie się „błękitna śmietana nieba”, wiatr podryguje w takt charlestona a zboku chichoce w kułak odwieczne ludzkie głupstwo...

Obok nich prozaicy, esseiści, krytycy. Tak tkwią jeszcze w dużej ilości w arystokratycznym scholastycyzmie wyrazu, że są jako ci z pomiędzy lekarzy, którzy najpospolitszy familijny senes wypisują na recepcie tajemnym symbolem łacińsłwa, żeby tylko nie naruszyć misterjum własnej obrzędowości, — sekretny, zakonspirowany klan „wiedzących”, egipska mafja kapłańska odgraniczająca się od tłumu hieroglifem niedostatecznie określonego wyrazu. Że czytasz to sobie poczciwy, inteligentny człowieku, coś zgrzył jak kruche ciastko czysty rozum Kanta — a tutaj ci zęby trzeszczą i ani rusz. Istny kamień mądrości, zęby połamiesz a nie dobierzesz się do środka owych egipskich ciemności. Że zaczynasz naprzód pokornieć i wierzyć we własną głupotę, nim ostatecznie przejrzysz i djabli cię zaczną brać na to magiczne nabieranie zakapturzonego wolnomularstwa mistrzów krytycznego stylu. Bo tu niema dwóch zdań. Albo esseizujący magik wie coś napewno, jak Pan Bóg przykazał, i wtedy powiada o tem ludzkim językiem, żeby go wszyscy rozumieli nawet tacy poczciwcy co z Platonem za pan brat leżą sobie przy stole biesiadnym intelektu, — albo taki jegomość wie tylko ociupinkę a resztę sztukuje Ben-ali-bejowem hokus-pokus, żeby czynić wrażenie głębi atlantyckiej tam, gdzie się wyleguje pod laskiem zacny janowski stawek pod Lwowem. Istna sztuka dla sztuki. Słowo nie odpowiadające rzetelnej treści, tylko tak ot sobie powiedziane, na ono mądre hecowanie: Dzięki temu rozmaici panowie krytycy tyle się dopatrują głębi w licznych poetyckich płyciznach, — tam zwłaszcza gdzie się przewala metną falą podobnie zakłamany frazes, — że aż strach, bo gdzie spojrzysz tam genjusz dymiący lawą pracującego Wezuwjusza. Panowie ci także wyrażają kawał dzisiejszego życia, gdzie frazes zabija prawdę, frazes religijny, frazes patrjotyczny, frazes państwowy i tyle, tyle innych, ale i to tylko kawał życia, nie wszystko.

A tymczasem jaka jest najgłębsza treść współczesności? Jest nią bezwiątpienia dążenie do prostej, uczciwej prawdy. Taka się nagromadziła od wieków piekielna góra wszelakiego łgarstwa, że już ostatecznie porządny człowiek znieść tego dłużej nie może. Że już trza wreszcie to monstrum szatańskie wysadzić w powietrze na cztery wiatry. Prostą, uczciwą wolą, prostem uczciwem umiłowaniem prawdy porządnego człowieka. Ku temu idzie dzisiaj najgłębszy, najpotężniejszy wysiłek pracującej współczesności. Jakże się może ostać wobec tego słowo zełgane fałszywą sztuką, słowo błazeńskie, słowo nadmiernie wypieszczone, wystrojone, wyondulowane.?! Dzisiaj trzeba walić, rąbać. Tylko nie ordynarnie, nie po chamsku, nie brutalnie i nie w twarz. Ale mocno, poprostu i w duszę. Żeby się dobrać do środka człowieka, nawet tam, gdzie z pozoru bydlę.

Bo tylko wtedy można z niego wykrzesać — człowieka.

KAZIMIERZ BROŃCZYK

PRZESĄDY O PRACY KOBIET

NIGDY JESZCZE nie słyszałam, by ktoś się dziwił, że kobiety „z ludu” pracują. Nie było i niema kwestji pracy kobiet na wsi, nie uważa się za nienormalne, że pracują proletarjuszki w przemyśle, rzemiośle, handlu — spór zasadniczy o pracę kobiet wybucha, gdy mowa o urzędniczkach, o stanowiskach kobiet w administracji, sądownictwie, technice, dyplomacji, nauce ścisłej...

Chłopka jest zazwyczaj jednocześnie hodowczynią bydła, nierogacizny, drobiu, jest rolniczką, wytwórczynią i sprzedawczynią nabiału. Nie zwalnia jej ta praca zawodowa od trudów domowych i wychowania dzieci. Gdy matka karmiąca zostawia niemowlę w żniwnej bruździe, a sama pochyla się przy sierpie pod palącem słońcem od rana do wieczora — nikogo to ani dziwi, ani martwi, ani niepokoi. Taka jest norma życia kobiety wiejskiej — ciężka praca. Która się od niej uchyla, wywołuje tylko zgorszenie na wsi swą „pańskością”.

Prawo do pracy samo spadło na barki robotnic miejskich. Od wieków pracowały i zarabiały przy różnych warsztatach rzemiosła i handlu. Nowoczesna industrjalizacja zmieniła tylko rodzaj ich zawodów i zarobkowania. Ale kobieta w mieście narówni z mężczyzną pracuje na życie swoje i rodziny. I nad tem niema zasadniczych dyskusyj, bo to jest konieczność ekonomiczna, nieunikniona potrzeba życiowa jednostek i rodzin.

I tylko nad wyraz ciężkie, okrutne, pod względem zdrowotnym opłakane warunki pracy fabrycznej wywołują zastrzeżenia i żądania reform i ulepszeń, w pierwszej linji dla kobiet, ze względu na zagrożoną zdrowotność nowych pokoleń.

Jeszcze tylko wśród burżuazji i tak zwanej inteligencji wlecze się dyskusja nad tem „czy kobieta powinna pracować zawodowo i zarobkowo”. Czyta się żądania dentystów, by wprowadzić numerus clausus dla kobiet na studjach dentystycznych, słyszy się o tajnych okólnikach w urzędach, redukujących przedewszystkiem kobiety z biur, ograniczających do minimum ich awansy wbrew kwalifikacjom, a elita umysłowa na uniwersytetach wznosi mury przeszkód, by nie dopuścić kobiet na katedry profesorskie.

Na tym odcinku szemrze cały różaniec przesądów, tyczących się rodzajów pracy i wagi stanowisk „dopuszczalnych” dla kobiet. Nikomu bodaj nie przychodzi do głowy występować przeciw temu, by kobiety były aktorkami, śpiewaczkami, tancerkami, nikt chyba nie kwestjonuje prawa do pracy zarobkowej nauczycielek, wychowawczyń, pielęgniarek — ale kobieta-architekt, sędzia, kobieta-technik czy mechanik, kobieta-dyrektor banku, wyższy urzędnik, minister (ach!) wydaje się naszym czasom jeszcze czemś zbyt zuchwałem...

Może dlatego, iż tempo myśli przeciętnych mózgów jest wolniejsze, niż zmiany społeczne w naszych czasach...

Z drugiej strony zaśniedziały konserwatyzm. Przesądy kategorji majątkowo-towarzyskiej.

Czyż nie zdarzy nam się spotkać jeszcze obecnie, dawno po śmierci Orzeszkowej, z takiemi powiedzonkami: „kobieta nie potrzebuje pracować” — ona może znaleźć sobie męża, albo jej ojciec, brat, kum, może ją utrzymymać. Jeszcze dawniej jest od zgonu św. Pawła, który głosił, że „kto nie pracuje jeść nie powinien”, a bardzo chrześcijańskie osoby utrzymują, że „kobieta nie jest stworzona do pracy”. Oczywiście kobieta „z towarzystwa”.

Bo są jeszcze eleganckie środowiska... kulturalne, dla których kobieta pracująca jest „zdeklasowana towarzysko”: Nie szacuje się jej według jej ludzkiej wartości, zasług umysłu i pracy. Uznaje się tylko kobiety, będące na utrzymaniu rodziny, ojca, męża. I mierzy się ich wartość kategorjami majątku, stanowiska ich żywicieli męskich, oraz reprezentacją pozorów towarzyskich.

W kołach urzędniczych słyszy się ogólnikowo o paniach i pannach, pracujących na „jedwabne pończoszki”. Kobiety „wogóle” leniuchują, nie umieją dobrze pracować... Zdaniem oskarżycieli w dancingach bywają głównie pracownice, wydające tam swe zarobki biurowe... O sobie, swoich „konferencjach”, totalizatorach, cocktailach, lokalach rozrywkowych milczą dyskretnie.

Lecz i takie złośliwe dowcipy ucierają się na trwałe przesądy w wielu głowach. Cóż bowiem więcej, niż głupstwo trzyma się uparcie mózgów i manjer?

Niekiedy wchodzą w grę motywy wzniosłe — męska duma. Nie pozwala ona na przykład, ożenić się z kobietą pracującą. Mężczyznę tego autoramentu upokarza jakoby, gdy nie może utrzymać sam żony i rodziny. Poto, aby czuł się panem świata potrzebna mu jest nie kobieta-towarzysz, lecz istota zdana na jego łaskę i niełaskę, nierozporządzająca sobą materjalnie. (Wybacza tylko większy posag).

Ale nie myślmy, że wyłącznie mężczyźni mają coś do powiedzenia przeciw pracy kobiet. Bardzo wiele kobiet broni się zaciekle przeciw tak „smutnej” ewentualności, jak zdobywanie sobie własnemi siłami środków do życia i miejsca w społeczeństwie.

Bronią się, piorunując na... kobiety pracujące. Ich zdaniem, praca ta nic nie jest warta. Nie mają zaufania do lekarek, za nic na świecie nie pojechałyby z szoferką, nienawidzą profesorek i aptekarek. Same ratują się od pracy najczęściej w stary sposób, zdobywając sobie mężczyznę, męża czy przyjaciela, któremu zezwalają łaskawie na przywilej dostarczania sobie mniej lub więcej dozgonnie chleba (z masłem i konfiturami) wygód i przyjemności. Jeżeli w tej pięknie obmyślonej egzystencji coś się załamie, kobieta „skazana” zostaje na pracę zarobkową, wtedy uważa siebie za bohaterkę tragiczną i... ofiarę, godną współczucia i pomocy narodu.

Dla tego rodzaju psychiki, umiejętność życia polega na pasorzytnictwie, upozorowanem słabością niewieścią, delikatnością uczuć, wstrętem do brutalnej walki o byt... no, i wreszcie ratowaniem wdzięku kobiecego, który chroni się pono wyłącznie wśród lubych próżniaczek.

Prawo do pasorzytowania okupuje sobie kobieta wyrzeczeniem się prawa do osobistego życia. Za swe wygody materjalne, za pozbycie się trudów pracy i borykania się ze światem — płaci niewolnictwem. Ale (choć zawsze będą takie, które wybiorą ten rodzaj egzystencji) od tego typu kobiety — jako zdegenerowanego moralnie i szkodliwego społecznie — odwracają się dążenia epoki współczesnej.

Walka z przesądami na tem polu jest o tyle jeszcze trudniejsza, iż niemal równorzędnie obok nich wysuwa się i argumenty poważniejsze, mające bardziej ogólne znaczenie społeczne, pewne konflikty ważkie.

Mówi się o niebezpieczeństwach rywalizacji ekonomicznej kobiet z mężczyznami na rynku pracy (obniżanie płac przez kobiety), o grożącem z tego powodu rozbiciu instytucji rodziny, rzekomej niemożności wychowania dzieci przez matkę pracującą zawodowo, o zaniedbaniu domu, gospodarstwa, i t. d.

Zarzuty te mogą mieć nawet pozory słuszności — (należałoby ich ostrze odwrócić) — ale tylko dlatego, że przy ich wysuwaniu pomija się poprostu kobietę, jako samoistną jednostkę ludzką i jej prawo do rozporządzania sobą, że — z drugiej strony — zaprzecza się konieczności zmian i postępu w metodach wychowania dzieci i gospodarowania w domu, pragnąc je utrzymać na starej stopie — że wreszcie zamyka się oczy na przykłady faktyczne, iż mnóstwo kobiet wzorowo wychowuje dzieci i kieruje domem, pracując równocześnie zarobkowo.

Konflikty, istotnie na tem tle zachodzące, czy to ekonomiczne, czy moralne warte są osobnego omówienia.

JADWIGA KRAWCZYŃSKA

ROZMOWA Z ZOFJĄ NAŁKOWSKĄ

WYWIAD SPECJALNY „ŚWIATA KOBIECEGO"

ZOFJĘ NAŁKOWSKĄ poznałem w Zakopanem, w lecie minionego roku. Stało się to przypadkiem dość osobliwym: dzięki „Domowi kobiet" i — kobietom. Nad świtem niezapomnianego dla mnie poznania zaciążyła ta pierwsza sztuka sceniczna, która mię może najintensywniej zajęła z całej twórczości świetnej autorki „Teresy Hennert". Ale każda niemal z kilku rozmów, jakie miałem sposobność z nią odbyć, zahaczała już o nowy dramat. Czuło go się w powietrzu świata jej myśli. Potem inne sprawy i inne prace odciągnęły pisarkę od tej rzeczy. Gdy ją zobaczyłem po raz drugi w zimie bieżącego roku w Zakopanem śnieżyście wybielonem, znowu była najzupełniej w kręgu teraz ostatecznie w kształt wcielającego się dramatu. „Poświęciłam mu sześć tygodni pobytu tutaj" — mówiła i znowu nieraz w ciągu godzin rozmowy wypadło mijać, okrążać, dotykać narastającej rzeczywistości sztuki. Te godziny w wysoko nad Zakopanem, jakby na poziomie spojrzenia gór zawieszonym, białym, ascetycznie prostym, skupiającym jasność światła, pokoju (jest taki, jak sztuka Nałkowskiej — nasuwało się podobieństwo) nie mają w sobie niczego równego. Bezpośrednie zetknięcie z wspaniałym: ostrym, wnikliwym, oryginalnym intelektem Nałkowskiej było dla mnie rewelacją wysokiej miary, nawet mimo najbliższej poufałości z światem jej książek. Umysłu, jakby naocznie objawiającego się w bogactwie swojem i niepospolitości dopełniało tu działanie uroku osobistego: to, co niewypowiedziane, a dla pełni wypowiedzenia indywidualności tak istotne. Nałkowska podkreśla, cieniuje słowa grą uśmiechu i zwłaszcza oczu — niebieskich, bardzo wyrazistych i zmiennych. Rozmawia chętnie, łatwo, niezmiernie żywo. I na niezliczoność tematów i wciąż z niezależnem, nowem, choć niekiedy ściśle indywidualnem podejściem. To, czego się od niej — jednego z najbardziej świadomych siebie artystów naszego czasu dowiedziałem o rzemiośle pisarskiem, stanowi dla mnie dar niepomiernej wartości. Z wdzięcznością myślę o tych chwilach, którym zawdzięczam pełniejsze rozumienie jej sztuki. Wzbogacenie o niejedno nowe ujęcie zjawisk życia.



Zofja Nałkowska zwiedza nowobudujące się Sanatorjum Akademickie „Bratnia Pomoc" w Zakopanem (lato 1930); stoją od prawej ku lewej: mg. Z. Smarzewska, Zofja Nałkowska, jej matka, wybitna uczona Anna Nałkowska, b. administrator Sanatorjum Ryszard Dębicki z żoną, i krytyk Tymon Terlecki *Fot. Zofja Dębicka*

Z tych rozmów, za uprzejmą zgodą pisarki, podaję do publicznej wiadomości mały ich, ale chwili najbliższy fragment, dotyczący jej nowej sztuki, która w bieżącym miesiącu ukaże się w Teatrze Narodowym w Warszawie, a niedługo prawdopodobnie także na scenie lwowskiej.

Zapytałem raz o tytuł kończonego dramatu: w tym szczególe, jak na karcie tytułowej książki zaczyna się nierzadko zainteresowanie utworem.

— Druga moja sztuka jest nazwana: „Dzień jego powrotu".

— „*...jego...*"? Więc znowu mężczyzna, jak w pierwszej sztuce Pani stanowi punkt centralny dramatu?

— Raczej tylko formalnie. Tematem dramatu jest przestępstwo i jego odgałęzienia w życiu moralnem i uczuciowem osób, związanych z przestępcą. Zajmuje mię też natura zbrodni. Jej różne kwalifikacje i aspekty nie są tam jednak tematem rozważań teoretycznych. Widzenie zbrodni zależne jest od charakterów i namiętności osób działających. Tak przynajmniej było w mem zamierzeniu. W związku z tem występuje natura przebaczenia i jego wartość moralna. A także wartość skruchy, która jest bezsilna wobec rzeczywistości.

— Jest to więc platforma zagadnień etycznych?

— Nie wyłącznie. Jednym z motywów jest rola cierpienia, jako czynnika w pogłębieniu miłości. A także siła pociągająca zła, jego fascynacja, skuwająca ludzi wbrew ich woli, nawet wbrew ich wiedzy.

— Czy w nowej sztuce dla ukazania tych zagadnień wprowadza Pani wyłącznie kobiety?

— Nie. Występuje w niej trzech mężczyzn i dwie kobiety. Natomiast zachowałem, jak w „Domu kobiet" jedność miejsca i czasu. I tym razem nie dlatego, aby sobie utrudnić zadanie, ale że to wynikło samo z natury tematu. I jeszcze w jednem ta sztuka wydaje mi się podobna do „Domu kobiet". Dramat centralny rozwija się i pęka przez współdziałanie dramatów pobocznych, powodujących konflikt uczuciowy bez wyjścia.

— I technika sceniczna jest ta sama, co w tamtej sztuce?

— Nie. Właśnie — inna. Ciekawa jestem, czy pierwsza moja sztuka, którą widziałam w całym szeregu ujęć reżyserskich i na różnych poziomach wykonania aktorskiego, dała mi istotnie to doświadczenie, które subjektywnie jednak wyczuwam. To się okaże dopiero po scenicznem zrealizowaniu „Dnia jego powrotu".

— Druga zkolei sztuka narzuca myśl, że Pani rzeczywiście odpowiada ta możliwość wypowiedzenia się?

— Praca nad tą sztuką odsunęła na plan dalszy zamierzoną przeze mnie powieść. Teatr istotnie pociąga mię silniej w tej chwili. Urokiem jego jest skrót, jest skondensowanie, skupienie zagadnienia w jednem niejako miejscu. Technika dramatyczna daje daleko ostrzejszy przekrój rzeczywistości, niż proza powieściowa.

TYM TERLECKI

NIEPOKORNA CÓRKA BAŁKANU

„Jeżeli grzeszę to tak jak ta ziemia,
„bom córka jej,
„rodzona siostra wiatru, wody, wina."

Tak się kończy jeden z wierszy Elizavety Bagriany, młodej poetki bułgarskiej.

Bułgarja ma trzy wielkie poetki, reprezentujące trzy pokolenia: Marę Belczewę, Dorę Gabe i najmłodszą Elizawetę Bagrianę.

Tę ostatnią nazwałam „niepokorną córką Bałkanu". Może reprezentować całe najmłodsze pokolenie kobiet - Bagriana — jako człowiek. Bagriana — jako poetka.

Zaciekawiła mnie nie dlatego, że jest „potrójną" laureatką, ze stemplem uznania oficjalnego, nie dlatego, że pierwszy jej tom rozszedł się w 3.000 egzemplarzy w przeciągu dwóch miesięcy (co było rekordem wogóle na całych Bałkanach) nie dlatego, że wiersze jej są tłumaczone na francuski, czeski i serbski — ale zaciekawiła mnie, bo w Polsce — poetki o takiej sile dynamicznej chyba niema. Poetki tak... rogatej, „niepokornej", prawującej się o miejsce, dla każdego swego przeżycia, dla każdej radości, a nawet dla zdrady, a nawet — tak jest! — dla grzechu...

To nie jest usprawiedliwienie, to nie jest osłonięcie się — to jest wyzwanie odważne, to jest dumna odpowiedzialność i siła z jaką dźwiga swój grzech gdy mówi: „jeżeli grzeszę to tak jak ta ziemia — bom córka jej" —

Bagriana jest Bułgarką, która po setkach lat niewoli — upiła się nagle wolnością. Z rozszerzonemi źrenicami, z zapartym oddechem patrzy na życie i na wszystko co się dokoła niej dzieje. Tak się upijają powietrzem tylko ci, którzy dnie długie siedzieli w ciemnicy.

Jakże jest niecierpliwa, jakże pragnie aby wszystko działo się „naraz" i „zaraz".

Zapewne gdyby jej ktoś powiedział, że życie zbierze całe brzemię niespodzianek i odrazu zarzuci jej na plecy, odpowiedziałaby hardo: „udźwignę".



ELISAVETA BAGRIANA
malował Deczko Uzunow

Miejsce dla krwi! miejsce dla rozmachu! miejsce dla wszystkich przeżyć! O to walczy.

Takie jest jej życie, któremu się niejedni bogobojni gorszą w Sofji. Taka jest jej poezja, którą się zachwycają wszyscy.

Tytuł tomu nagrodzonego „Wieczność świata". Czyż nie jest to tytuł charakterystyczny dla „córki ziemi", „rodzonej siostry wiatru, wody, wina"?

Przynosi mi ten tom, ślicznie wydany, wraz z swoją fotografją z portretu Uzunowa — do hotelu „Bułgarja" w Sofji.

I wreszcie po różnych spotkaniach oficjalnych wśród ludzi — następuje chwila intymna w której można pomówić.

Widziałam Bagrianę jak tańczyła, śmiała się, flirtowała — a oto teraz leży u mnie swobodnie na kanapie — z głową wtuloną w poduszki i recytuje. Zawsze była wytworną kobietą światową, dumną z powodzenia — a dzisiaj jest poetką.

Deszcz pada za oknami, a w takich chwilach dobrze się słucha wierszy.

Posłuchajmy więc:

„Być może, że prababka ciemnooka
„w jedwabnych szarawarach i z turbanem —
„w tajemnicy — skróś północ głęboką
„uciekła z cudzoziemskim chanem."

A potem:

„Może dlatego tak kocham tupot koński pod klaskanie bicza i na wichrze rozlany wolny głos."

Kto zna Bałkan, kto wie co znaczyło kiedyś takie życie „prababki ciemnookiej w jedwabnych szarawarach i z turbanem", ten zrozumie czem była dla niej ucieczka w wolny step, przy boku mężczyzny umiłowanego.

Nie jest więc Bagriana córką kobiety, która potulnie i z poddaniem pozwalała się zamykać w haremie na klucz — ale kobiety, która walcząc o wolność narażała życie.

„O! bo bije we mnie grzeszna, niepokorna krew." ...Tak mi czyta. A ja czuję, że to prawda. KAZIMIERA ALBERTI

ELISAVETA BAGRIANA

DZIEDZICTWO

Ród mój z portretów praprzodków nie słynie
i ksiąg rodowych nie mam w mej rodzinie
i nie znam ich tradycji,
ich duszy, ich żywota, ich oblicza.

Lecz czuję: bije we mnie koczownicza,
prastara, niepokorna krew,
budzi mnie gniewnie wśród nocy
i nieraz mnie prowadzi w grzech.

Być może, że prababka ciemnooka —
w szarawarach jedwabnych i z turbanem —
zbiegła skróś północ głęboką
gdzieś z cudzoziemcem, z jakimś świetnym chanem.

Być może równie naddunajskie
tupotem końskim rozbrzmiewały
a wicher zamazując ślady
obronił — dwoje — przed kindżałem.

Być może, że dlatego lubię
niezasłoniętą przestrzeń polną,
bieg koński pod klaskanie bicza,
rozlane w wichrze głosy wolne.

Być może jestem grzeszna i przewrotna,
że złamię się na drodze — to być może,
lecz ziemio! otom twoja córka wierna,
matko! której krew we mnie gorze.

Z oryginału bułgarskiego spolszczyła
KAZIMIERA ALBERTI

POESIS

Władysławowi Reymontowi

Gra — gra — gra — grają graby,
Lilają li — li — lipy
I bu — bu — buczy buk.
Pod szum ten, pod to granie
Odchodzę=ć, ojcze=panie,
Kłoniąca się do nóg.

Przecz lutnia twa strapiona,
Przecz płacze w czarnej śpiewce?
Ucichni, ucisz płacz
I głębiej sięż do łona!
By cię, ciemnego piewcę,
Pozłocił spokój: bacz!

Juże mi nie być doma,
Kie liść on płony spadnie,
Lecz ścieżą dalną iść.
Ta ścież mi, hej, wiadoma,
Najdę ją, znajdę snadnie,
Kie płony spadnie liść.

W rumieńcach graby staną
I lipa twa już złota,
Buk miota martwo łzą
I ktosi mnie zza płota
Przywabia pieśnią szklaną,
Me stopy k'niemu mkną.

Wybaczy, ojcze miły,
Że wolę oną lutnię,
Niżeli twój tu śpiew,
Że od cię bieżą chutnie
W te ścieże, co się śćmiły,
Kie liść opływa z drzew.

Ostańcie z Bogiem wszytki,
Już wiater ten mnie niesie
Z ojcowych strun i ścian,
Już nie tu me pożytki.
Ostanie w Czarnym Lesie
Sam czarny ociec=pan.

Któż byłam? Struna płowa,
Na której grała=ć ręka,
Twej pieśni strunny strój...
Dziś dźwięk ten w mgłę się chowa.
Dziś córka — struna pęka,
Odchodzę=ć ojcze: czuj!

Ktom była? Krasa może,
Co w dworcach twoich mieszka
I szemrze u twych strzech
I w słonecznikach gorze...
Dziś gaśnie moja ścieżka,
Ucicha dziś mój śmiech.

I choć mi latek kielka,
Byłam u pana=ojca,
Jak żadna z źrałych cór...
Królowa ulów wielka,
Żyłam wśród róż ogrojca
I z leluj miałam dwór.

I miałam ku zabawie
Bociani gdziesi klekot
I rozkraczony sad
I staw, co skrząc srebrnawie
Wśród modrych, hań, dalekot
Mawiał, że rad mi, rad.

Gruchał mi w ranki skrzące
Gołąb, nadęty łonem
I z tęczą kole szyj,
Cieszył mnie motyl w łące
Kwiecianym lotem=gonem,
Goniec, niewiada, czyj.

A przeto=ć idę wierę,
W jesienne cisze one,
Owita w giezło mgły,
Od ciebie już się bierę
W te drogi niezdrożone,
W gościniec ony zły.

Łzy płyną z drzew sadowe,
Lasowe, ogrojcowe,
Łzy płyną na twój próg,
Gra — gra — gra — grają graby,
Lilają li — li — lipy,
I bu — bu — buczy buk.

Ostały tu me oczka,
Patrzące z mgły turkuśnie
Powszędy: stamtąd, stąd...
Niech serce ciszy doczka!
Już uśni, żal niech uśnie,
Niech się nie wdawa w błąd!

Warkoczek ostał lniany,
We mgle szukany dłonią,
Juże go niechaj pleść...
Już rzucam twoje ściany,
Juże mnie smętki słonią,
Jużem jest jeno wieść.

Nie naleźć mnie we świecie,
Przeszłam jak kwiaty=kwiecie,
Gdy zbraknie słońca smug,
Gdy grają, łkają graby,
Lilają li — li — lipy
I bu — bu — buczy buk.

A może mi za lichy
Dorobek ten, te znoje,
Ten czoła twego pot...
W złotogłów, nie w drelichy
Tęsknoty stroję swoje,
Jarząca od tych złot.

A możeś ty był jeno
Starowny człek w rzemięśle,
Partacza para rąk,
Zaś serce moje wzieno
Za twą ojcową gęślę,
Rozwiodło światła w krąg.

I może w lip pogwarze
Spłynęłam z góry na cię,
Mówiąca: „Tera dzwoń!",
Kiedyś z połedniem w parze
Przy śpiewnym trwał warsztacie,
Ku pracej siląc dłoń.

A możem była większa
I dłonią mocniej włada,
Niż ty, władyka, sam...
Spójrz, jako mnie upiększa
Ten liść, co za mną pada,
Idącą z twoich bram.

Jako się wdzięczę jasno,
Choć ucz mych świetle gasną,
Choć idę w ciemność dróg,
Choć graby żalnie grają,
Choć lipy w łzach lilają,
Choć bu — bu — buczy buk.

A może mi za letka
Robota twoich ręku,
Imana li na raz,
Możem tu jest Poetka,
Co się dorabia dźwięku
Po wszytek czasów czas.

Nie do cię byłam w drodze,
Nie do twych miodnych szklanic,
Nie pod twój drzewny cień...
Nie ciebie dziś odchodzę,
Człek jeden jest mi za nic,
Lśnię tu od większych lśnień.

Możem nie śpiewną młódką
W twym niskim była dworze
W posrebrzy kiecek=kiec,
Nie ptak, co śpiewa krótko,
Lecz jakieś śpiewne bożę,
To, smętny ojcze, wiedz!

Skrzydliki dwu srebrnemi
Do wszystkich ja tu w goście
W tę dróg otwartość szłam,
W topolność, polność ziemi,
Spłoniona od miłoście...
Nie tyś mi ociec, sam.

Już nie nastroję=ć strony,
Już mi twój głos daleki,
Już słucham innych stron,
Nie w ciebie=m duch wlutniony,
Płynę przez lutnie=wieki,
Wszem lutniom dawam ton.

Prze zmarłe idę smęty
Po śmiech, u strun upięty,
Po dziadzie gra mi wnuk,
Grają mi wnuki=graby,
Lilają wnuki=lipy
I buczy mi wnuk=buk.

Żegnalnie chyląc czoła,
Niech chustą nikt nie trzącha,
Niecha nie prosi: „Stój!"
Odchodzę was wesoła,
Kto żyw, mych woni wącha,
Kto żyw tu, zwie się: mój.

Żegnajcie mnie w uciesze,
W weselu, w pieśni, w śmiesze,
W wyrwasie radym nóg,
Gdy gra — gra — grają graby,
Lilają li — li — lipy
I bu — bu — buczy buk.

Bo trza o śmiech starania,
Radosnej rady potrza,
A nie lutnianych łez,
Po radość duch mój gania,
Ja z duchów tu najmłodsza
Łzom — szlozom niesę kres.

Uśmiechu trza, jak łaski,
Niech w sobie go rozpali
I lutniarz ów i ten...
Hej, ojcze czarno=laski,
Uśmiechni się z swej dali,
We fraszkę zamień tren!

Po błękit, woń, po radość,
Po darów mych bezliki,
Po szczęście, śpiew i śmiech
Przychodźcie: dam wam zadość
Ja pieśni cud wieliki,
Zwę, ilu jest was, wszech.

Ku nowych strun nauce
Powrócę, lotem szparka,
Piastunka strun i straż,
W wonieniu lip kieś wrócę,
Jak pszczoła, łąk arfiarka,
Ja, wierny arfiarz wasz.

Upoję was, ukoję,
Ze serc was własnych miody
Nauczę pięknie pić...
Lecz dziś to nie jest moje,
Przez drzew umarłe kłody
Dziś, drogo moja, idź!

Powrócę, choć odchodzę
I skwiecę was, pokwiecę,
Kie z drzew wystrzeli liść,
W powrotnej przydę drodze
Na dusz kwietniowe wiece,
Lecz teraz trza mi iść.

Wiatr=powiatr na mnie wiewa
I zmarłe gra listowie
Ostatkiem pozłot=złot
I płynę gdzieś przez drzewa,
Jak biali z mgieł duchowie,
W wiatrowy gon i miot.

I panu ojcu kłania
Ma kosa w znak żegnania,
Ojcowy zmiata próg
I gra — gra — grają graby,
Sadź złotą miotą lipy
I bu — bu — buczy buk.

STANISŁAW MAYKOWSKI

KRONIKA WARSZAWSKA

WĄTPIĘ czy warszawiacy zauważą koniec karnawału i dziwić się raczej należy, że w wielkiem mieście są dalej w obiegu tradycyjne pojęcia, które już niczemu nie odpowiadają w życiu. Z nastaniem postu tańce przeniosły się z sal balowych do dancingów, czyli przedzierzgnęły się z formy przebrzmiałej, staroświeckiej i nudnej w formę nowoczesną, zabawną i przyjemną. Bal prywatny niemal zupełnie zanika — coraz mniej jest kobiet skłonnych do męczeństwa, bal publiczny, machina nudna, masywna, kosztowna, nęci jeszcze tylko niedoświadczone panny. Ale i restauracja - dancing, na którym się spędza całą noc, wydaje dużo pieniędzy i idzie w pełnej toalecie, jeszcze nie jest tem, czego naprawdę potrzeba współczesnemu człowiekowi pracy, kiedy się chce wybawić. I oto powstały naraz w Warszawie dwa lokale, w których zniesiony został wszelki przymus, co jest jedynem istotnem źródłem zabawy. To Resursa Artystyczna i kawiarnia „Adria". Można i tu i tam pójść ubranym jak się chce: w codziennej sukni, czy w wieczorowej toalecie, można wypić szklankę herbaty, albo jak w Resursie zjeść dobrą kolację. W „Adrii" wprawdzie solidniejszych potraw nie dają, ale za to są cztery bary z olbrzymim wyborem trunków. Każdy z tych lokali ma inne uroki: „Adria" jest olbrzymią, na europejski sposób pomyślaną kawiarnią, niezwykle pomysłowo i ze smakiem rozwiązaną przez wybornego architekta Ebera. Magiczna gra świateł, fantastyczne rozmieszczenie stolików stwarzają baśniową dekorację dla flirtu, tańca, miłości. Przytem rozmiary kawiarni sprawiają, że można w niej oderwać się niemal od świata, zyskać cenne uczucie iż się jest w innem mieście, niemal w innym kraju. Inne są wabiki Resursy, która zajmuje lokal nieszczególny w podziemiach Filharmonji. To jest to stałe schronienie wszystkich gwiazd teatralnych i kabaretowych, wielu malarzy, często literatów. Wejście nie dla każdego, trzeba być wprowadzonym, to już jest rodzaj klubu. Nastrój stateczny. Przychodzą tu ludzie zmęczeni — aktor po przedstawieniu myśli tylko jak zjeść porządnie, odsapnąć i wrócić do równowagi nerwowej, z której wytrąciła go rola. Pamiętam jakim zawodem był dla mnie, kiedy się po raz pierwszy zetknęłam ze światem teatru, widok aktorek, które starłszy szminkę z twarzy wkładają skromne paltociki i pośpiesznie a samotnie wsiąkają w wilgotny mrok pustej ulicy, bez kwiatów, wielbicieli i samochodów, któremi je darzą liche romanse. W Resursie niema blichtru dla epatowania obcych. Można tam porozmawiać, pograć w karty, przejrzeć dzienniki, ale żeby się zabawić trzeba się wybrać gdzieindziej.

Te dwa lokale to współczesność. Ale zdarzyło mi się w bieżącym karnawale cofnąć się niespodzianie o lat conajmniej 50 wstecz. Byłam na balu publicznym wprawdzie, ale za bardzo ścisłemi zaproszeniami, wszyscy mniej więcej na sali się znali. Towarzystwo arystokratyczno - ziemiańskie. Mnóstwo młodych panien, ale wszystkie pod opieką matki albo ciotki. Starsze damy, typu sławetnej „matrony polskiej", obsiadły gęsto salę, plotkując, złoszcząc się i drzemiąc. Tylu zabytków ponurej przeszłości naraz nie zdarzyło mi się widzieć. Wogóle panna idąca na bal pod kuratelą mamy, która sterczy drętwo na krzesełku i kontroluje każdy ruch córki, jest obecnie zjawiskiem niemal już niespotykanem. Miałam uczucie iż odbyłam wstecz podróż w czasie. Widziałam też na tym balu różne inne curiosa: siostry jednakowo ubrane i siedzące rzędem w oczekiwaniu tancerzy, młodych ludzi rozmawiających o posagach, mamy młode i przystojne a ucharakteryzowane na babcie. Wszystko pokrywał gęsty całun nudy. Na sali panowała zimna i przykra atmosfera targowiska małżeńskiego, anemja panien schnących w domu i gnębionych opieką zbyt troskliwych rodziców, cynizm mężczyzn patrzących na swoje przyszłe żony okiem zawodowych graczy w totka. Pomyślałam z przyjemnością o studentkach, o urzędniczkach które po dniu pracy idą sobie potańczyć jak i z kim im się podoba, które bez kurateli organizują sobie życie wcale rozsądnie.

Przejdźmy lepiej do jednej z największych sensacyj literackich, jakie się zdarzyły w Polsce, można to bez przesady powiedzieć. Jest nią pojawienie się szczególnego fenomenu pisarskiego, książki jedynej w swoim rodzaju, figury w świecie literackim dotychczas nie spotykanej. Ale trzeba wszystko opowiedzieć pokolei. Oto Instytut Socjologiczny w Poznaniu ogłosił konkurs na życiorys robotnika. Pierwszą nagrodę otrzymał Jakób Wojciechowski za gruby tom p. t. „Życiorys własny", w którym opowiada życie swoje od kolebki, aż do okresu powojennego. Trudno powiedzieć co należy więcej podziwiać w tej zastanawiającej książce: czy gigantyczny trud autora, człowieka słabo piśmiennego, który borykając się z fantastyczną ortografją i z trudem samego mechanizmu pisania potrafił stworzyć tak grube dzieło, czy dar pisarski, który sprawia, że tę książkę pisaną bez żadnych literackich aspiracyj czyta się jednym tchem; czy wreszcie zadziwiającą szczerość, możnaby powiedzieć pasję szczerości, która każe temu prymitywnemu a mądremu człowiekowi nie pomijać niczego i zdawać sprawę na swój własny, do niczego niepodobny sposób, zarówno ze swego życia seksualnego jak duchowego. Zdumiewające jest podobieństwo tej książki do „Wyznań" Roussa. „Życiorys" Wojciechowskiego zdobył sobie należny rozgłos ale, autor nic o nim nie wiedział. Dostał nędzną nagrodę od Instytutu, gdyż było to w okresie dewaluacji marki, i siedział sobie spokojnie w Poznańskiem pracując ciężko i nie mając czasu na dalsze pisanie. Na szczęście zajął się nim jeden z naszych znakomitych pisarzy i zdołał uzyskać od niego dalsze zwierzenia. Pan Prezydent wyznaczył Wojciechowskiemu nagrodę. Zaszczuty w swojem miasteczku, którego mieszkańcy z księdzem na czele oskarżają go o niemoralność, podniósł dzięki temu moralnemu poparciu głowę i będzie pisał dalej. Jednem słowem, ten niemłody zapracowany robotnik jest na drodze do sławy. — Jego „Życiorys", kto wie czy nie zostanie jako jeden z pomników naszej epoki.

Ile przesądów łączy się z pojęciem zawodowego literata świadczą choćby dwie ostatnie warszawskie premjery. Jedna z tych sztuk wyszła z pod pióra znanego i kutego w rzemiośle pisarza, druga z pod pióra amatora, nowicjusza w tej dziedzinie, aktora. I oto co widzimy: sztuka zawodowego dramaturga — Nowaczyńskiego zadziwia prymitywnością, jałowem gadulstwem, martwotą, niskim poziomem dialogu, podczas kiedy komedja Maszyńskiego zjednywa zręcznością, wdziękiem, bezpośredniością obserwacji. Dopływ obcych zawodów do literatury może być zjawiskiem bardzo pożądanem. Jakże często najznakomitsi pisarze w późnym stosunkowo wieku znajdowali siebie i zdawali sobie sprawę ze swego powołania. Toż Romain Rolland był muzykologiem, zanim mając pod czterdziestkę wziął się do pisania, Duhamel — lekarzem jak nasz Boy, Wells — przyrodnikiem. A Wyspiański? A tylu innych. W czasach obecnej coraz większej demokratyzacji możemy się spodziewać, że przypłyną nowe, niespodziane talenty ze wsi i z proletarjatu. Gdybyż tylko dać im możność ujawniania się, bo smutno się robi, kiedy się pomyśli, że tylko czysty przypadek zrządził, iż taki Wojciechowski wypłynął na światło dzienne, a nie zginął przybity jak kamieniem nędzną dolą robotnika.

IRENA KRZYWICKA

DWA MIESIĄCE W TEATRACH LWOWSKICH

TEATR ROZMAITOŚCI.

Pięcio-aktowy dramat: „Człowiek z teką“ Aleksego Fajko, rosyjskiego dramaturga i nowelisty, odsłania od wewnętrznej, indywidualnie ludzkiej, nie ideologicznie abstrakcyjnej strony: sprawę tworzenia nowego życia i nowego człowieka w Rosji sowieckiej. Dramat ten można nazwać — tragedją ludzi przełomu, tragedją ludzi, którzy skądinąd wyszli i gdzieindziej przyszli, dla których w pewnem miejscu życia legła granica: tu się umiera i tu się rodzi na nowo. I którzy — nie narodzili się, ani nie umarli. Przystosowali się. I teraz odbywa się w nich, jak w Dymitrze Granatowowie — bohaterze sztuki, sprzeczna walka dwu sił: trwania wewnętrznej przynależności do starego świata i zewnętrzny napór świata nowego. I mimo całej instruktywnej wartości, całego realizmu sztuki, objektywnie ukazującej oblicze wielkiego społecznego eksperymentu, można w niej upatrywać kwestję ogólniejszego: historycznego i psychologicznego znaczenia. Tragizm w istocie swej ogromny — losowy: tragizm psychicznego dziedzictwa i tragizm zaprzeczającego wszystko dawne — momentu historycznego. Człowiek bez winy własnej i woli jest tu — rybą wyrzuconą na piasek.

Inna rzecz, że Fajko nie spożytkowuje tematu w pełni niniejszego sformułowania. Bohatera: generalskiego syna i wybitnego uczonego, czyni — człowiekiem ambicji i człowiekiem instynktów zbrodniczych. Ambicja osobista prze Granatowowa do osiągnięcia sławy choćby w służbie nowego, obcego mu ustroju społecznego — zbrodniczość znaczy do niej drogę życiem towarzysza z kontrrewolucyjnej konspiracji, żony emigrantki, i starego profesora. To zdaje się osłabiać możliwości tragiczne tematu i — rzecz dziwna u pisarza sowieckiego — sprowadzać je raczej do dramatu jednostki patologicznej. Może wynika to z pewnych klasowych i psychologicznych uproszczeń, jakie cechują strukturę tej sztuki. Pomimo wszystko jest ona — w finale zwłaszcza — moralizująca.

Mimo nasuwających się wątpliwości „Człowiekowi z teką“ nie można odmówić silnej dramatyczności. Ciekawe jest w nim stopienie pewnych tradycyjnych chwytów z zupełnie nowemi — w całość bryłowatą, celową, wyrazistą w grubo obrysowanych postaciach, w sytuacjach wysokiego napięcia. — Te wszystkie wartości całkowicie dobyła reżyserja S t r a c h o c k i e g o — bardzo świadoma i staranna. W zgodnym kierunku szła praca dekoratorska D a s z e w s k i e g o, który miał na małej, niewygodnej scenie „Rozmaitości“ do pokonania znaczne przeszkody (akt I dzieje się w pociągu i ma trzy zmiany dekoracyjne). Jak technika dramatu, dekoracje w zasadzie naturalistyczne, nosiły znamiona celowych uproszczeń. W zespole aktorskim obok świetnego gościa A d w e n t o w i c z a, artysty o potężnej, wewnętrznej ekspresji stanęli W i e r c i ń s k i (Lichomskij) i C h o d e c k i (Redutkin) — dając dwie pierwszorzędne, do ostatecznej cyzelatury szczegółu doprowadzone kreacje aktorskie. Z reszty bardzo wyrównanego zespołu wymienić należy: Ż b i k o w s k ą, Ż y c z k o w s k ą i M a c h a l s k i e g o.

— Po tej sztuce poruszającej tragiczną wymową, przed „Dantonem“ Przybyszewskiej, „Sierżantem Griszą“ Zweiga, dał Schiller — intermedjum pogodne, odciążające wrażliwość: komedję muzyczną „Jak stać się bogatym i szczęśliwym“ F. Joachimsona i M. Spoliansky'ego (wersja polska: H. Zbierzchowski i L. Schiller). Już taka rola tej sztuki, w funkcji podobna do dramatu satyrowego w teatrze greckim, stanowi dostateczną rację jej zjawienia się na scenie lwowskiej. Ciekawsze i głębiej uzasadniające jest studjum nowości zjawiska, dochodzenie jego źródeł. I tu dotyka się zagadnienia nowoczesnej estetyki. W zacieśnieniu do teatru obserwuje się dążność do objęcia coraz szerszego zasięgu widza i równorzędne z tem wchłanianie pierwiastków nowych. Teatr demokratyzuje się od strony sceny i widowni. Traci swój eksklusywny, arystokratyczny, wtajemniczający charakter.

Utwór sceniczny wystawiony ostatnio i cały nowy rodzaj do którego należy, wyrósł z tych uzasadnień: nobilitował piosenkę uliczną i świat, przez nią wyrażany, przyswoił na własność, ukształcił na cenną wartość. Jeśli się to dopełni wpływem tak charakterystycznego dla naszych czasów typu widowiska, jakiem jest rewja — otrzyma się jakby rodowód pełny nowego g e n r e'u, będącego wyrazem zdrowej asymilacyjnej tendencji teatru. Charakter tego nowoczesnego rodzaju scenicznego zawrze się w określeniu: jest to instrumentacja różnorodnych elementów artystycznych: literackich, muzycznych, plastycznych, choreograficznych w jednolitą całość o konsekwentnej budowie dramatycznej. Stwarza to sugestję pełni, wszystkości, wyczerpania wszystkich możliwości: feerję o ogromnej wielostronności oddziaływania estetycznego, o odurzająco szybkiej zmienności wrażeń, kalejdoskopowej barwności.

Trzeba sobie uświadomić ogrom trudności, jakie to 14-obrazowe widowisko nasuwa, stwarzając postulat niemal uniwersalności uzdolnień artystycznych. Takie uświadomienie realizację tej komedjo-rewji w kształcie o doskonale wyczutej nowoczesności, w przepojeniu całości artyzmem, z zachowaniem równowagi elementów składowych i z tem bogactwem, świeżością inwencji — uznać każe za triumf inscenizacyjny S c h i l l e r a. Przyczynili się do niego — H r y n i e w i e c k a opracowaniem części tanecznej, D a s z e w s k i strony dekoracyjnej i kostjumowej. Aktorzy dramatyczni świetnie czuli styl widowiska, dobrze dawali sobie radę z koniecznością uzgodnienia słowa, gestu i ruchu z rytmem myzycznym. — Wyróżniają się: M i e d z i ń s k a, B a r w i ń s k a, W i e r c i ń s k a, S t r z e l e c k i, B r o d n i e w i c z. Partję czołową Morusa dublują M a c h a l s k i i K o n r a d t — pierwszy urokiem prostoty, drugi finezją interpretacji stwarzając dwa różne ujęcia.

TEATR MAŁY.

We Lwowie objawił się talent komedjopisarski Perzyńskiego „Lekkomyślną siostrą“ (1904), którą Tadeusz Pawlikowski wiedziony instynktem, niemal wymusił na nim i tą pierwszą komedją, rzecz dziwna: najlepszą z pośród napisanych dwunastu, uczczono tu — odejście tego pisarza z pośród żywych. Jeśli nie można mówić o przeżyciu się tej rewelacyjnej kiedyś sztuki, to niewątpliwe jest osłabienie jej siły: i to nie tyle w samem demaskującem obłudę mieszczańskiej moralności nastawieniu pisarza, ile w chwycie, jakim się tutaj posługuje. Marja, owa „lekkomyślna siostra“ niema już dla nas tej sugestywnej, przekonywającej wymowy, jaką miała dla pierwszych widzów komedji. W tem może przyczyna, nieznacznego sukcesu wznowienia. Rolę tytułową grała M a r j a M a l a n o w i c z z dobrem ustawieniem kontrastowem kreacji do reszty postaci komedji. Reżyserował Z n i c z, słaby w roli Henryka Topolskiego, nie dającej pola do rozwinięcia posiadanych możliwości komicznych.

— „Przygody Ch. A. Plina“ N. Garai'a, stanowią pozycję repertuaru zupełnie przegraną, ale może przegraną — pedagogicznie. O ile sens głęboki posiada przyswajanie pewnych zdobyczy techniki sztuk innych, jeśli stanowi cenne ożywienie, wzbogacenie posiadanych już możliwości, o tyle mechaniczna transplantacja jednej sztuki do drugiej, więc kina do teatru lub odwrotnie (jak to okazują teraz „incunabula“ filmu dźwiękowego) wydaje się logiczną niedorzecznością, z zasady skazaną na krótki i niesławny żywot. Ukazała to jakby eksperymentalnie „Chaplinada“ — przenosząca postać Ch. Chaplina i typ jego filmów na deski teatru. Efekt — zupełnie ujemny nawet przy tak naogół szczęśliwem imitowaniu przez Z n i c z a ogromnej, samorodnej, nawskroś swoistej sztuki Chaplina (zwłaszcza finał sztuczki w ekspresji liryzmu przypominał ostatnie sceny „Cyrku“).

Przygotowano rzecz bardzo staranie, zarówno w stronie inscenizacyjnej (R a d u l s k i), jak dekoracyjnej (J a r o c k i), ale to nie mogło zażegnać zasadniczego nieporozumienia.

— Ostatnio wystawiona „Dobra wróżka“ F. Molnara, jest komedją o wielkiej sumie uroku, pogody i świeżości. Choć w strukturze trochę zwichnięta, trochę ryzykownie podparta epilogiem, ma dość osobliwy nervus vitae: polega na emocjonalności igrania z niebezpieczeństwem. Cała jej akcja balansuje między oszustwem a prostytucją, przegina się zgrabnie, jak w tańcu wśród mieczów, by wreszcie dobywszy liczne akcenty komiczne, rozwiązawszy zawikłania, dać swobodne odetchnięcie, znaczne zadowolenie płynące z poczucia ulgi. Wydźwięk końcowy tej sztuki jest bardzo optymistyczny i — moralny.

Powodzenie zawdzięcza świetnemu duetowi aktorskiemu: G r y w i ń s k i e j i Z n i c z o w i — jej urodzie, przekonywającej szczerości, wyrazistości gry (razi tylko trochę nieopanowana gra rąk) i jego bardzo subtelnemu wyczuciu komizmu postaci fanatycznego uczciwca. — Dysonansowo odbija od dobrej klasy aktorskiej i reżyserskiej (F r ą c z k o w s k i) małomiasteczkowa oprawa dekoracyjna.

„Dobra wróżka“ jest jednem z najmilszych zjawisk tej sceny.

TYM TERLECKI

ROLA MUZYKI W ŻYCIU KOBIETY WCZORAJ A DZIŚ

1)

WCZORAJ

Wiemy o tem wszyscy, że epoka powojenna zmieniła nietylko nasze zewnętrzne warunki życiowe, ale też i nasz najistotniejszy, najgłębszy stosunek do rzeczy, kryjących się poza powierzchnią tego życia codziennego. Nie tu czas i miejsce na wyliczanie szczegółowych faktów i docielkanie przyczyn, wystarczy przypomnieć jeden choćby objaw, bardzo w tym kierunku znamienny, a to zmieniony stosunek dzisiejszego człowieka, specjalnie zaś dzisiejszej kobiety do sztuki.

Nie potrzeba sięgać zbyt daleko myślą wstecz, by zrozumieć na czem polega ta zmiana. Rzuca się ona w oczy na każdem polu, zarówno w literaturze, jak i w malarstwie, rzeźbie i sztuce stosowanej. Wszędzie kobieta fachowo wykształcona wypiera swą dawną rywalkę, kobietę-amatorkę, dyletantkę, a czyni to nietylko z konieczności przystosowania się do praktycznych warunków życiowych, ale przedewszystkiem celem nawiązania bliższego, bardziej osobistego stosunku do tego, co nazywamy przeżyciem artystycznem. Bo tylko temu, kto posiadł tajniki techniki i formy artystycznej, pozwala sztuka dzisiejsza dotrzeć do zrozumienia jej treści. Tak niedawno jeszcze obracała się kobieta wyłącznie prawie tylko po powierzchni wszelkich przejawów sztuki! Niezdolna do samodzielnego myślenia, a tem mniej do samodzielnej twórczości w jakimkolwiek kierunku, uważała sztukę co najwyżej za sposób przyjemnego spędzenia czasu, za jedną z form salonowych rozrywek, stojąc poza obrębem tych zmagań i walk, w ogniu których wykuwały się nowe ideały. Dziś przeciwnie pragnie w tych walkach wziąć udział czynny, ideały te wykrzesać z iskry własnego serca. Zrozumiawszy posłannictwo nowej sztuki w nowej formie życia dzisiejszego, pragnie przepoić sztuką całe swe życie, nietylko na forum publicznem, ale też w domu i w szkole, w szarzyźnie codzienności, która dla większości stała się ciężką walką o chleb powszedni.

Na żadnem jednak polu rozdźwięk w stosunku kobiety do sztuki między wczoraj a dziś nie jest tak silny, jak na polu kultury muzycznej. Możemy tu rozróżnić dwa zasadnicze momenty, a mianowicie: czem była dawniej muzyka w życiu kobiety, oraz naodwrót: jaką rolę spełniała kobieta w całokształcie dawniejszej kultury muzycznej?

Zastanawiając się nad pierwszą z tych kwestyj, dojdziemy do wniosku, że w życiu przeciętnej kobiety przedwojennej muzyka, podobnie jak to mówiliśmy o innych rodzajach sztuki, nie była bynajmniej jakimś czynnikiem istotnym, kształtującym w jakikolwiek sposób jej wewnętrzną strukturę duchową. Napozór wydawać się może wprawdzie, jakoby rzecz miała się zgoła przeciwnie. Nigdy może pewne formy wykonywania muzyki, w pierwszym rzędzie muzyki fortepianowej, nie były tak bardzo rozpowszechnione, jak w epoce naszych matek, babek i prababek. Nie było wszak domu, w którym fortepian nie zajmowałby honorowego miejsca w t. zw. „salonie", a nauka gry na fortepianie należała do dobrego tonu i wchodziła w skład ogólnego wykształcenia młodej panny, które przekazywano szczęśliwemu małżonkowi wraz z posagiem. Czy jednak ten sposób traktowania rzeczy wnosił choć odrobinę kultury muzycznej w życie kobiety? Bardzo wątpię. Przedewszystkiem fortepian, panujący wówczas wyłącznie, jako instrument o tonie już gotowym, nie wymagał do najprymitywniejszego opanowania techniki — muzykalności, a tem samem dopuszczał do udziału w „sztuce" wykonawczej każdego, kto miał czas, ochotę i środki, by się kształcić. Że zaś kobiety owej epoki miały bardzo wiele czasu, a przeważnie i dość pieniędzy, przeto one to padały w pierwszym rzędzie ofiarą owej pseudokultury muzycznej. Trzeba zresztą przyznać z całą bezstronnością, że umysł ówczesnej kobiety, bierny, nieruchomy i absolutnie nietwórczy, nadawał się znakomicie do tego rodzaju wyczynów artystycznych, jak bezmyślne parogodzinne bębnienie po klawiszach, celem osiągnięcia jakiejkolwiek techniki i uzyskania pewnego przeciętnego poziomu, wystarczającego i przeznaczonego wyłącznie na potrzeby domowe. Repertuar takiej kobiety grającej, podyktowany wymogami dyletanckiej i przeważnie nieinteligentnej nauczycielki, obracał się wokoło zawsze tych samych, muzycznie niewybrednych i małowartościowych utworów w stylu wyłącznie salonowym, który przeważnie mało, lub nic nie miał wspólnego z poważną literaturą muzyczną. Istniała i wówczas oczywiście, — jak zresztą w każdej epoce — literatura łatwiejsza, choć wartościowa, przeznaczona dla osób technicznie mniej zaawansowanych, ale praktycznie nie wchodziła ona wogóle w rachubę jako zbyt prosta, a więc nieodpowiadająca smakowi ówczesnej kobiety. Nie wolno nam przecież zapominać, że w epoce tej panował w życiu, w sztuce i na każdym terenie styl „wiktorjański", którego nieszczerość i obłuda były główną cechą charakterystyczną, domagającą się wielkim głosem reakcji w epoce nam współczesnej. Udawano zainteresowanie się sztuką, tam, gdzie nie było wcale jej zrozumienia, udawano umiejętność tam, gdzie były tylko jej pozory, udawano wiarę w twórczość muzyczną, tam, gdzie każdy bystrzejszy umysł wyczuwał pustkę i powierzchowny uśmiech salonowy. Dlatego w praktyce zastępowano kompozycje Schuberta, lub Schumanna, przeznaczone dla dzieci, utworami błyskotliwemi Schnetta czy Moszkowskiego, które bardziej odpowiadały wymogom ówczesnej estetyki przeciętnego człowieka. Jaki zaś był sposób wykonania tych utworów — o tem lepiej nie mówić. Nie było napewno uczenicy, która grając dany utwór, potrafiłaby sobie zdać choć w części sprawę z jego właściwości rytmicznych, czy harmonicznych, z formy, nawet najprymitywniejsze wiadomości z nauki o frazowaniu były jej zupełnie niedostępne; rzecz jasna więc, że właściwa treść muzyczna utworu pozostawała daleko poza obrębem jej świadomości, a interpretacja była wyłącznie mechaniczna. W tym stanie rzeczy nie było oczywiście mowy o jakiemś przeżywaniu muzyki. Muzyka była dla tych bezmyślnych istot księgą zamkniętą na siedm pieczęci, zrozumiałą tylko dla niewielu wybranych.

Nieinaczej przedstawiał się stosunek kobiety do muzyki w teatrze i sali koncertowej. W zakresie odtwórczości panował wówczas bałwochwalczy kult elementu wirtuozowskiego nawet w kołach t. zw. fachowych. Czasy, w których Liszt i Paganini zdobyli po raz pierwszy zawrotne szczyty techniki instrumentalnej, gdy z ust do ust wędrowały mity o ich nadludzkiej mocy nad martwą materją, przypisywanej nawet... paktom tajemnym ze złemi duchami, — były jeszcze niezbyt dalekie. Dla rozwoju techniki poszczególnych instrumentów, była to bez wątpienia chwila epokowa w historji, która jednak równocześnie kryła w sobie poważne niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo to polegało na przesunięciu punktu ciężkości z treści wykonywanej kompozycji, na sam sposób jej wykonania; rzeczą najważniejszą było teraz nie to „co" grano, ale to „jak" grano. Ten sposób patrzenia na rzeczy ze strony słuchaczy wpływał oczywiście demoralizująco i na artystów, którzy w pierwszej linji byli wirtuozami, a w drugiej dopiero prawdziwymi odtwórcami, liczącymi się z intencjami kompozytora i patrzącymi poważnie na powierzone im dzieło sztuki. I znowu oczywiście — idealnym typem tego rodzaju słuchacza o ciasnej mentalności, ubóstwiającej zewnętrzne, a nie wewnętrzne środki artysty na estradzie, była ówczesna kobieta, niezdolna przeżywać do głębi, a wykarmiona bezmyślną literaturą pianistyczną, w zakresie której próbowała realizować swe własne, — jakże malutkie — ambicje artystyczne.

W operze zresztą — a nierzadko i na estradzie — bywała często kobieta sama ośrodkiem tych czynnych zainteresowań już w szerszej mierze; jest to zarazem jedyna niemal sfera jej działalności artystycznej w muzyce, w której została jej wyznaczona rola ważnego czynnika w całokształcie ówczesnej kultury muzycznej. Rola ta da się określić jednym tylko terminem: p r i m a d o n n a. Na scenie, czy na estradzie — wszędzie była kobieta tej epoki jedynie i wyłącznie primadonną. W tym kierunku tradycje jej sięgają dość daleko. Z chwilą, gdy poczęła się rozwijać opera i element koncertujący w muzyce XVII wieku, sprawa współpracy kobiety w kulturze muzycznej w tym właśnie kierunku była sprawą przesądzoną. Wrodzona jej predyspozycja do wirtuozostwa rozpoczęła się rozwijać z przerażającą szybkością, tłumiąc w tym rozszalałym korowodzie gam, biegników i ornamentów istotną treść muzyki. Próbowano kilkakrotnie oponować przeciwko tej hegemonji wirtuozostwa nad zdrowym rozsądkiem muzycznym, ale zwykle nadaremnie. Po pewnym czasie wracała ona ze zdwojoną siłą, osiągając swe punkty kulminacyjne w operze włoskiej XVIII wieku i w drugiej połowie XIX wieku. Cała niemal opera włoska i francuska z epoki, poprzedzającej ostateczny trjumf Wagnera, jest jednym wielkim aktem hołdu, spłaconym kobiecie-primadonnie, która skupia około siebie nić zainteresowań muzycznych publiczności operowej całej Europy. Zbytecznem byłoby tu chyba wskazywać na absolutnie egocentryczny stosunek „artystki" do muzyki: ona była centralną postacią opery, którą często oceniano tylko z punktu widzenia jej mniejszej lub większej użyteczności dla celów wirtuozostwa. Istotna wartość muzyki i tu schodziła na drugi plan.

Był więc tu współudział kobiety realnym współczynnikiem ówczesnej kultury muzycznej, był jednak raczej jej wartością negatywną, niż pozytywną. Przynosił raczej obniżenie ogólnego poziomu, ściągając wszystkie ambicje artystyczne do rzędu ambicyj czysto osobistych. Faktu tego nie zmieni okoliczność, że w zakresie wyżej opisanym, zdołały kobiety osiągnąć wyniki częstokroć fenomenalne; szły one jednak prawie zawsze w parze z brakiem inteligencji muzycznej i daleko idącą mechanizacją środków, pokrywającą brak głębszej treści.

Radykalne zmiany w tym kierunku znaczyć się zaczęły dopiero na przełomie XIX i XX wieku. Dr STEFANJA ŁOBACZEWSKA

KOBIETY SZWEDZKIE O KOBIETACH POLSKICH

Stosunki pomiędzy krajami Skandynawskiemi a Polską w ciągu dziejów nie układały się pomyślnie. Stanęła pomiędzy niemi a nami żądza opanowania mórz i to od najdawniejszych prehistorycznych czasów. Bałtyk, na którego brzegach skupiały się plemiona słowiańskie, Rugja, owa widoma wyspa, gdzie zbudowały sobie one świątynię dla bóstwa, nazwanego Światowidem, były przedmiotem ciągłych walk zdobywczych. Ślad ich pozostał w sadze skandynawskiej. Występuje w niej słowiańska królowa Wisznia, która walczy na czele kobiet o posiadanie bałtyckiego wybrzeża, towarzyszą jej rycerze Wnęk i Wdał; królowa ginie, ale nie umiera z nią idea posiadania dostępu do morza, która odtąd przewijać się będzie stale przez karty naszych dziejów.

Później, znacznie później, toczą się walki polsko-szwedzkie tak świetnie opisane w Potopie Sienkiewicza, wplątane są w nie względy dynastyczne. W historji i literaturze szwedzkiej nie znajdujemy oddźwięku współczucia dla napadniętego narodu, wszakże te, za bohaterskie tam uważane boje, toczy Gustaw Adolf, król dobry i sprawiedliwy, pod którego rządami Szwecja zakwitła i doszła do wysokiego stopnia kultury.

I przez setki lat głucho było tam o Polsce; tragiczny jej los nie wywołał żalu, bo właśnie przez te 130 lat, gdy my borykaliśmy się z ciężką niewolą, wolne kraje skandynawskie rozwijały się ekonomicznie i cywilizacyjnie, korzystały z dobrodziejstw niezmąconego pokoju.

Aż naraz wybuchła wszechświatowa wojna, która zmienić miała zasadniczo mapę Europy, przywrócić Polsce jej niepodległość, wprowadzić ją do rodziny wolnych narodów. W Skandynawji miano proniemiecką orjentację, zresztą zachowywano się neutralnie, z pewną jednak obojętnością na nasze dalsze losy. Z chłodem śledzono koleje wojny, nie dotykającej bezpośrednio tak Szwecji jak Danji, dając jednak gościnny przytułek tym, których jej zmienne fale wyrzuciły na obce brzegi.

Ale i w Polsce niszczonej i szarpanej przez walczące ze sobą wojska, wśród jej ludności zrywającej się do wolności i za to więzionej i prześladowanej, znalazła się Szwedka p. Elza Saanblad, która także dostała się do rosyjskiego więzienia. Przebyła w niem kilka miesięcy, później zesłana do Rosji i wreszcie uwolniona, napisała książkę o swoich przeżyciach. Zwróciła ona w niej szczególną uwagę na kobiety polskie odsiadujące karę za swoje dążenia do niepodległości i z talentem skreśliła ich sylwetki. Książka wywarła wielkie wrażenie, zwróciła myśl Szwedów ku Polsce i doczekała się kilku wydań.

Studjum mogło być wszechstronne, bo warszawskie więzienie ratuszowe, zgromadziło wtedy, — był to rok 1914, — kobiety i młode dziewczęta, z różnych sfer. Obok poważnych i zasłużonych działaczek społeczno-oświatowych, które oderwano od warsztatów pracy, tem intensywniejszej, że w czasach tak gorących prowadzonej, były tam całe zastępy dziewczynek-skautek, wtrąconych do więzienia na skutek tego, że spis ich znalazły władze rosyjskie u jednej z nauczycielek, były żony i matki zagarnięte przypadkowo, znoszące jednak z bohaterstwem swoją smutną dolę.

I p. Saanblad należała do tych „wziętych" przypadkowo. Nauczycielka gimnastyki na warszawskiej pensji żeńskiej, zaręczona z jednym ze swoich kompatrjotów pracujących w konsulacie, wraz z nim wyszła na wycieczkę w okolice Warszawy i posądzona o szpiegostwo, została uwięziona.

Jak mówi jednak w swej książce, nie żałowała tego ani na chwilę, poznała bowiem czem może być dzielne serce kobiece w chwili najwyższego niebezpieczeństwa. Większości bowiem kobiet groziły straszne kary, aż do utraty życia włącznie. Wybitniejsze z nich bowiem szły w lud z gorącym apelem patrjotyzmu, chcąc go do walki o wolność pobudzić, pisały płomienne odezwy, by nie ufano obietnicom trójzaborców, lecz by zdobywano się na czyn samodzielny.

Jedna ze współobwinionych, członek redakcji pisma ludowego i z całym jej składem zaaresztowana, z niebezpieczeństwem życia wyprawiała młodzież wiejską przez kordon do legjonów, setkami rozrzucała numery tajnych pism przez siebie redagowanych. Szwedka schyla czoło przed taką odwagą i patrjotyzmem i robi taką uwagę: „A jednak szkoda, że u nas przez sto lat niezmąconego pokoju nie mogły się wyrobić takie charaktery".

Oceniali wartość uwięzionych kobiet nawet dozorcy więzienni. Autorka mówi, że okazywali dużo dobroduszności i starali się im ciężki pobyt ułatwiać a nie utrudniać. Wolno było rodzinom dostarczać im z domu pożywienie a patrzono na to przez szpary, jak w bułce lub u spodu dzbanuszka od mleka, znalazła się karteczka zwana „grypsem" w gwarze więziennej. Jeden fakt zadziwił ją wszakże w psychice władz carskiej Rosji. W więzieniu ratuszowem znalazła się także Rosjanka, chłopka Pawłowa, która w męskiem przebraniu uciekła ze wsi do armji rosyjskiej i podobno bardzo dzielnie walczyła. Podstęp wykryto, bohaterkę osadzono w więzieniu a potem miano ją administracyjnie dostawić do wsi rodzinnej. Pawłowa biła głową o mur więzienny i rozpaczała: „Jakże ja wrócę do swoich jako aresztantka, do nich co mnie na drogę błogosławili".

Bardzo gorąco mówi autorka o Polkach, o ich współczuciu i miłosierdziu. „Przygarnęły i pocieszały biedną rosyjską żołnierkę, okazując jednakową przyjaźń i życzliwość wszystkim uwięzionym, choć się wśród nich znajdowały i kobiety nisko moralnie stojące, które umyślnie umieszczano razem z niemi."

Zmienne losy wojny, ruch w więzieniu, zewsząd mnożą się oznaki, iż Rosjanie zmuszeni będą opuścić Warszawę a może i oddać tak długo w szponach swych trzymane Królestwo.

P. Saanblad barwnie odtwarza odblask zbudzonych nadziei, promienną radość kobiet uwięzionych, że może już kończą się dni niewoli. Nie wiedzą jeszcze, że ich czeka długoletnie wygnanie w głąb Rosji, lub ciężkie więzienie. Marzenie, niespełnione niestety, że razem z wojskiem niemieckiem wejdą do stolicy legjoniści, którzy więźniów uwolnią, osładza im chwile oczekiwania.

Autorka przejmuje się temi uczuciami, chociaż optymistycznych nadziei nie podziela, o swój los jest spokojną, wie bowiem, że jako należąca do państwa neutralnego, znajdzie pomoc i obronę w szwedzkiej ambasadzie w Petersburgu, niepokoi ją tylko los polskich towarzyszek więzienia, które szczerze pokochała. I obawy te są aż nadto usprawiedliwione. Po krótkim pobycie w szpitalu gdzie słabsze z nich umieszczono pod opieką „ochrany", etapami wywożą je do Rosji i to w warunkach najokropniejszych. Ostatni transport wypada na chwilę opuszczania Warszawy przez władze rosyjskie. Pociąg mieszczący w sobie Policję i osobny okratowany wagon z aresztantkami, ostrzeliwany już jest przez wojsko niemieckie, obrzucany szrapnelami, które wzniecają, ugaszony następnie, pożar w pociągu. Wreszcie po kilkunastu dniach, tak tragicznej podróży, nieszczęsne ofiary dostawione są do Moskwy, gdzie są umieszczane w więzieniach. O tych dramatycznych szczegółach p. Saanblad dowiaduje się później, wysłana bowiem wcześniejszym etapem do Petersburga, jest już wtedy pod opieką szwedzkiego poselstwa.

„Polska musiała być oswobodzona" kończy autorka swoją, pełną uwielbienia dla kobiet polskich, książkę, „zbyt wiele bowiem było w niej sił twórczych i szlachetnych aby te mogły być zmarnowane."

I spotyka się jeszcze z wygnankami polskiemi, gdy te po dwu i pół letnim pobycie w Rosji, wracają przez Stockholm do ojczyzny i ofiarowuje im swoją książkę. „A cóż się stało z narzeczonym?" pytają ją z uśmiechem. „Zerwałam z nim", odpowiada. — „Po tych ludziach pełnych zapału i poświęcenia, których w czasie wojny poznałam w Polsce, wydał mi się zbyt chłodny i zrównoważony, może zczasem ochłodnę i przyzwyczaję się do naszych „uregulowanych" stosunków."

A obecnie ukazuje się znów nowa szwedzka książka o kobiecie polskiej.

Pisze ją p. Ankerswärd, córka posła szwedzkiego w Warszawie. Nie poprzestając na języku dyplomatycznym jakim jest francuszczyzna używana wyłącznie w tych sferach, nauczyła się po polsku i studjuje naszą przeszłość i literaturę. Uderzyła jej wyobraźnię niezwykła postać Emilji Plater, typ w dziejach Szwecji nie spotykany, jakkolwiek narody skandynawskie wiodą swój ród od Wikingów znanych ze swej nieustraszonej odwagi. Postać Emilji Plater, tak urocza a tak pełna bezgranicznego poświęcenia, zwróciła uwagę szwedzkiej autorki na różne etapy naszych walk o wolność i na tle jednego z nich rozwinęła dramatyczną opowieść o naszej bohaterce.

Prace, o których w tym krótkim zarysie wspomniałam, to najpewniejsza droga zbliżenia i wzajemnego poznania się narodów, to działanie dla tej lepszej przyszłości świata, w której znikną wojny, prześladowania i bratobójcze walki, a życie ludów oprze się na współpracy i wspólnem dążeniu do szlachetnych a dobroczynnych celów.

I. W. KOSMOWSKA

CO ANGIELKA SĄDZI O KOBIETACH AMERYKAŃSKICH

GDZIEKOLWIEK JEŹDZIŁAM podczas mojej podróży do Stanów Zjednoczonych, wszędzie i zawsze zwracano się do mnie z jednem pytaniem, które wciąż brzmi mi w uszach i czeka napróżno na odpowiedź, jakiej dotychczas znaleźć nie mogłam. Czy mnie pytano o bezrobocie w Anglji, czy o zagadnienie Indyj, czy na temat trwałości rządu robotniczego, — zawsze próbowano też wysondować moje zdanie co do kobiety amerykańskiej i jej angielskiej siostrzycy.

Różnice istnieją niewątpliwie: spotyka się kobiety, które mogą być jedynie tylko Amerykankami, podobnie jak są też kobiety, nie mogące być niczem innem, jak Angielkami. Ale dziś *patrzeć* tylko na kobietę nie na wieleby się nam już przydało. Wypróbowałam tego podczas mej podróży i powrotu z Ameryki, jak długo mogłam polegać jedynie tylko na własnych oczach.

Dawniej można było obserwować kobietę tylko pobieżnie, od stóp aż do głowy i cery twarzy. Wówczas miało się wrażenie, że piękne nóżki a brzydka cera były przywilejem Amerykanek, gdy znowu Angielki posiadały przeważnie obrzydliwe nogi a piękną cerę twarzy. Dziś to się zmieniło. Wszędzie widzi się jednako piękne nóżki i jednako piękne główki. Bezpośrednim wynikiem tej zmiany jest fakt, że dziś spotyka się na świecie o wiele więcej kobiet lepiej ubranych i niewątpliwie ładniejszych.

Co niegdyś w Stanach Zjednoczonych uchodziło za pochlebne wyróżnienie (ograniczające się zresztą tylko do kobiet amerykańskich, stopa bowiem płci brzydkiej stanowi dla siebie osobny rozdział), — to dziś stało się przyrodzonem prawem kobiety na całym świecie. A jeżeli nóżka amerykańska podbiła dziś cały świat, — to samo dotyczy również w tym samym stopniu i angielskiej cery. Delikatna, blada cera, wynik przebywania w ciepłych ubikacjach, zimnej wody i wilgotnej atmosfery, — znikła zupełnie pod warstwą kremów, pudrów i innych środków upiększających, a przyczyniających się do wytworzenia specjalnego typu „cery dziewczęcej", urągającej czasowi i wyrównującej tak liczne upośledzenia i nierówności natury. Nigdy poprzednio nie istniało na świecie tyle różnorodnych typów kobiecych, ani też nie było tak trudno odgadnąć narodowość danej kobiety.

Oczywiście tylko do chwili, póki kobieta milczała. Skoro zaczęła mówić, tajemnica przestawała być tajemnicą. Zarówno indywidualnie, jak i zbiorowo kobieta z północnej Ameryki różni się od Angielki ogromnie nietylko tonem głosu, ale i jego zabarwieniem i diapazonem. Nie mając pozatem żadnego innego kryterjum, można odrazu zgadnąć czy się jest w Londynie czy w Nowym Jorku: słuch nas nigdy nie omyli. Czem najjaskrawiej różnią się pomiędzy sobą poszczególne rasy, to właśnie muzyką mowy.

Najprościej możnaby to sobie tłómaczyć faktem, że Amerykanin lubi pysznić się swemi kobietami, że w galerji narodowej kobieta amerykańska zajmuje pierwsze miejsce, jak to zresztą w Ameryce zawsze bywało. Faktycznie też i kobiety amerykańskie przeważnie stoją na takiem właśnie stanowisku. W swej, z reguły milutkiej, naiwności uważają siebie same za piękniejszą część rodzaju ludzkiego, przekonane, że ich partnerzy, ta brzydsza część rodzaju ludzkiego, ma nietyle obowiązek, jak raczej przywilej udzielania im opieki i pomocy. Amerykanki najbardziej postępowe, które wolą nawet po zawarciu małżeństwa zarabiać same na swe utrzymanie, odnoszą się demonstracyjnie z pewnem lekceważeniem do wszelkich zobowiązań, wynikających z zawarcia małżeństwa, — a kierując się tą samą swoistą logiką, zatrzymują niejednokrotnie swe panieńskie nazwiska, co nieraz może wprawić w zakłopotanie gościa, niedomyślającego się niczego.

Zapatrywanie tego rodzaju znajduje najprostszy wyraz w tezie, że „wyżej ceni się moralną wartość kobiety niż mężczyzny". Mężczyzna czuje, a kobieta potwierdza to chętnie, iż w życiu społecznem przedstawia ona wielkie archiwum. Świadomość tego, jasna a pewna, przenika jej całą istotę. Dzięki tej świadomości potrafi ona trzymać się odpowiednio, potrafi dobrze wyglądać (co nieraz ma do zawdzięczenia raczej kosmetykom szczodrze stosowanym), — dzięki niej wreszcie przekonaną jest o swej inteligencji, której nikt oprzeć się nie zdoła.

Amerykanka lubi porównywać siebie nietyle z innemi kobietami, jak raczej z mężczyznami, — a porównanie takie pod względem towarzyskim wypada w zupełności na korzyść kobiety. W dziewięciu wypadkach na dziesięć kobieta amerykańska ubraną będzie ładnie i dobrze, Amerykanin natomiast nie; a choćby nawet i był dobrze ubrany, rzadko kiedy wygląda na prawdziwego gentlemana, gdy natomiast Amerykanka potrafi bez żadnego wysiłku prezentować się jako skończona lady.

Teza o wrodzonej wyższości kobiety amerykańskiej nie przyjęła się nigdy w Anglji, — wydając się jedną z tych niedość jasno sprecyzowanych właściwości, z których mentalność brytyjska nie umie wyciągnąć żadnych korzyści. Angielski kodeks towarzyski nie jest co prawda zbytnio specyficznym, Anglicy jednak potrafili nadać mu wyraźniejsze oblicze, kiedy niegdyś w czasie walki kobiet o prawo wyborcze podawali w wątpliwość, czy kobieta może być „sportowcem", czy wogóle nie, jak się powinno grać, — i czy okazywana przez nią lojalność wobec mężczyzny może być podyktowana czemś innem, niż wyłącznie jej osobistym stosunkiem do tegoż mężczyzny. Naogół Anglicy byli zdania, że robią kobiecie zaszczyt, mierząc ją tą samą miarą, co płeć męską, — a ten miernik i dotychczas jeszcze jest wobec kobiet stosowany.

Jeżeli tak jest rzeczywiście, — wówczas mimo wszelkich pochlebnych dla kobiet, a na coś wręcz przeciwnego wskazujących objawów, — zdaje mi się, że na drodze do zupełnego zrównania się obu płci Angielka dalej zaszła niż Amerykanka. Dalej przedewszystkiem dlatego, że nie otacza się pochlebnym dla niej nimbem jakiejś rzekomej wyższości, co może się przyczynić tylko do zamącenia jasności jej sądów. W tym sensie i pod tym kątem widzenia Angielka wydaje mi się przeciętnie bardziej realistyczną niż Amerykanka. I ona ma swoje iluzje; nie są one jednak z reguły natury sentymentalnej i nie zamykają się w ciasnem kółku jej płci. W odniesieniu do swej płci jest wyrozumiałą i lojalną; lojalność ta, zwłaszcza wśród młodszej generacji przybiera czasami charakter niemal namiętny. Ale z wyjątkiem maleńkiej grupy zagorzałych „sufrażystek", lojalność ta nigdy nie jest oparta na założeniu, jakoby kobieta ulepioną była z lepszej gliny niż mężczyzna.

„Aureola świętości" zawsze kosztuje drogo. I Amerykanka, zdaje się, dość drogo za nią zapłacić musiała. Miłem to jest, prawda, pozwolić łaskawie mężczyznom, by jej ustawicznie kadzili, ale równocześnie oznacza to, że nieraz w tej swojej gloryjce będzie się ona czuła bardzo samotną.

Nie mogłam wyzbyć się uczucia, że dzisiaj ten podziw mężczyzny dla kobiety jako dla istotnego czynnika wartości kulturalnych i etycznych stał się poprostu tylko nawyczką. Że, — wbrew temu, w co Amerykanki ciągle jeszczo zdają się wierzyć — podziw ten nie odzwierciedla w całej pełni prawdziwych myśli i poglądów mężczyzny. Anglik może myśleć o kobietach to czy owo, — jednakże przedewszystkiem ze względów czysto realnych skłania się do wysnuwania tej prostej prawdy, że kobiety przedstawiają nieograniczoną różnorodność rodzajów. W Ameryce — jak mi się zdaje — nad tą prawdą nie zastanawiano się dotychczas równie gruntownie, ani też się z nią nie pogodzono tak, jakby należało. A dopóki to nie nastąpi, prawdziwa emancypacja kobiet nie będzie możliwą.

MARY AGNES HAMILTON

STEFKA WĄTOREK

2)

— MAM PRZYJACIÓŁKĘ, wiesz, taką małą ładną blondynkę. Śliczny jeden kapitan kocha się w niej i tak im jest dobrze... Mąż zapracowany, poczciwy, ale taka fujara, wiesz, jak każdy mąż... Nic nie widzi, o niczem nie wie. Ta przyjaciółka ciągle mi powtarza: „Ach, jaka pani głupia, pani Stefo, jaka pani głupia. Pani nie wie, jaka to dobra rzecz kradziona miłość, ale niechże pani już raz spróbuje."

— Dałabym jej publicznie dwadzieścia pięć batów — wyrwało się Elizie, lecz na szczęście osoba, będąca na drodze do wiarołomstwa nie dosłyszała tego wibrującego szczerością okrzyku.

— Więc i ja sobie myślę: dzieci odchowane, dziewczyny właśnie oddaję do klasztoru, młodość ulata, a Janek jest taki ładny chłopak — —

Eliza słuchała z przymkniętemi oczami.

— I kocha mnie szalenie... Chce mnie przecież rozwodzić.

— O idjotko! — chciała krzyknąć Eliza, ale pohamowała się, uderzyła pięścią w jedną z kwiecistych poduszek otomany i ostrożnie spróbowała zimnego tuszu:

— Jesteś zaślepiona. Każdy niemal mężczyzna w Polsce, bo nie w Anglji lub Ameryce, gdzie musi przed prawem odpowiadać za takie historje, w szturmie na cnotę kobiety zamężnej używa z mniejszą lub większą zręcznością tego argumentu. Strażak, umizgający się do twej kucharki, także ją kusi ołtarzem. Niema przecież nic łatwiejszego dla młodego, gołego, niby święty turecki chłopca, jak krzyknąć do trzydziestoośmioletniej matki trojga dzieci i cudzej żony: „Kocham panią! Niech pani zostanie moją żoną." Ale spróbuj rzucić mu się na szyję z oświadczeniem, że nie wracasz do męża, że zabierasz dzieci i powiedz mu: „Niechaj się stanie wola miłości. Przeprowadzaj pan w tempie błyskawicznem rozwód, urządź mi tymczasem przyzwoite mieszkanie (sześć pokoi, kuchnia, pokój dla służby, gaz, elektryczność, łazienka i przyległości), zgódź dobrą kucharkę, bonę do dzieci, a pozwolę ci w roli narzeczonego bywać u siebie, wzdychać i całować mi końce palców". Powiedz mu to, a zobaczysz, czy pałający, jak wulkan miłością młodzieniec nie ulotni się bez śladu, przerażony twoją naiwnością i straszliwą perspektywą, jaką mu roztoczyłaś.

Obrażona Brzozowiecka wzruszyła ramionami.

— Dziwna jesteś, moja Elizo. Nie wierzysz więc, że Janek mnie kocha, że mnie szanuje, chcąc się ze mną żenić?

— *Pardon*. Czy nigdy ów Janek nie starał się dać ci dowodów miłości bardziej, jakby to powiedzieć? Bardziej pozbawionej cech szacunku, albo jeżeli wolisz, czy nigdy nie starał się wejść w prawa męża teraz, gdy jesteś jeszcze żoną pana Brzozowieckiego?

Eliza wyostrzyła wzrok, jak detektyw. Znała na pamięć wszystkie odcienie kłamstwa w oczach, spojrzeniu, uśmiechu i rumieńcu kobiet. Miała dar jakby jasnowidzenia, tajemnego czytania w duszach, odgadywania najbardziej utajonych uczuć i najstaranniej ukrytych kłamstw.

Brzozowiecka zaczerwieniła się gwałtownie pod warstwą pudru. Wygładzając nerwowo spódnicę na biodrach, milczała.

— Czy nigdy? — powtórzyła łagodniej Eliza.

— Spowiadasz mnie, jak ksiądz — rzuciła ze złością Stefka. — Pewnie, że mnie błaga... Wczoraj klęczał przede mną z godzinę i całował mnie po nogach, jak warjat... Wygryzł mi w jedwabnej pończosze dziurę, tak mnie szalenie kocha... W takiej ślicznej pończosze koloru szampańskiego wina... Aha, czy nie wiesz, moja droga, gdzie mogłabym tu kupić takie same pończochy, bo do nowego kostjumu nie mogę przecież nosić innych, tylko koloru *champagne* — —

Eliza miała ochotę rzucić z gniewem w stronę Brzozowieckiej jedną z poduszek, o które opierała się, półleżąc na otomanie. Pozostawiając bez odpowiedzi pytanie, tyczące się pończoch, mówiła pozornie spokojnie:

— Zapewne... Mężczyzna, który wygryza kobiecie dziury w pończochach, daje jej poważne dowody swojej namiętności, zdradzając jednocześnie znaczny brak szacunku dla cudzej żony i matki trojga dzieci. Faktem jest więc, że pan ten pragnie swój półromans zamienić na romans.

— Biedny chłopak! — rozrzewniła się Brzozowiecka. — Strasznie się męczy. Ciągle go głowa boli...

— Wierzę. A ty w jakimś momencie chrześcijańskiego współczucia uniesiesz się wspaniałomyślnością i odegrasz rolę piramidonu czy aspiryny.

— Strasznie mi go żal. Bo wiesz, ja mężowi powiedziałam, że zamieszkam u jego siostry, ale naprawdę to mieszkam w Grand Hotelu.

— Jesteś więc w poważnem niebezpieczeństwie — skonstatowała Eliza.

— Całemi dniami siedzi u mnie i mówi, mówi o swej miłości. Albo klęka...

— I wygryza dziury w jedwabnych pończochach...

— I płacze, że jest nieszczęśliwy...

— I że go głowa boli...

— A ja mu mówię: „Pan jest głupi dzieciak, a ja jestem uczciwa kobieta, mam męża i dzieci"...

— Sześć pokoi, kucharkę i bonę... Francuzkę — —

— Nie żartuj. I mówię mu, że on dopiero za dwa lata będzie inżynierem i że ojciec go wydziedziczy (mają wieś pod Warszawą), jak się z taką starą babą ożeni. A on obraża się i mówi, że choć ma dwadzieścia trzy lata, wie, czego chce...

— Wierzę mu najzupełniej.

— I, że jak czego chce, to mieć musi, bo jest uparty.

— A ponieważ go ciągle głowa boli...

— Nie żartuj, Elizo, bo ja mówię o małżeństwie.

— Tu właśnie zachodzi nieporozumienie.

— A jaki jest gwałtowny, to świadczy, że chce zabić mego męża...

— Ach! Cóż to za krwiożerczy typ! Chce zabić twego męża? Ależ to bohater z kryminalnej powieści!

— I w listach pisał, że się zabije, jeżeli tu nie przyjadę i nie wysłucham go, rzuci się pod tramwaj czy automobil...

— Ale nie rzuca się, choć go dotąd nie wysłuchałaś. Wygryzł ci tylko dziurę w pończosze. Demon.

— O, on ma w sobie coś demonicznego. I mnie nazywa „zimnym demonem".

Eliza z trudnością pohamowała wybuch serdecznego śmiechu. Pomyślała, że jeżeli zręczny uwodziciel wmówi w poczciwą kucharkę, że jest demonem, kucharka z łatwością uwierzy we własny demonizm i — ulegnie, oczarowana wielkością swojej woli.

— Opór tej kobiety wisi na włosku i grozi upadkiem. Jest ona podobna do fortecy, którą lada chwila opuści ostatni żołnierz załogi — reszta zdrowego rozsądku. Co tu robić? — Co mnie wogóle cała ta historja obchodzi? *Laisser faire, laisser passer?* — kłębiły się w mózgu Elizy urwane, nieporządne myśli, związane z ewentualnym upadkiem dawnej Stefki Wątorek.

— Moja droga — zbliżyła się nagle do niej Brzozowiecka. — Jabym tak chciała ci go pokazać. Kazałam mu o piątej przyjść pod dom, w którym mieszkasz. Kiwnę na niego z okna, dobrze?

— Kiwnij — zezwoliła z westchnieniem malarka.

Brzozowiecka śpiesznie podeszła do okna i kiwała.

Kiwała długo, z przejęciem, prezentując na tle szeroko otwartego okna swą odtłuszczoną kibić, opiętą drogim gorsetem, szarą świetnie skrojoną spódnicą i krepdeszynową bluzką, misternie inkrustowaną pajęczyną koronki. Skończywszy kiwanie podbiegła lekko, jak podlotek, do lustra, upudrowała nos, natarła karminem usta, wyjęła z głębokiego wycięcia bluzki brzeżek kosztownej Chantilly, wytrzeszczyła „demonicznie" zbyt małe oczy, poprawiła figlarny loczek, wymykający się z pod kapelusza, zupełnie podobnego do rondla — i efektownie rozsiadła się wreszcie w fotelu, założywszy tak wysoko nogę na nogę, że aż odsłoniła kolano, obciągnięte przejrzystym, lśniącym jedwabiem pończochy.

— Jesteś pod bronią — zauważyła Eliza.

— Ach, bo on jest taki esteta! Nie masz pojęcia, co to za typ... Zobaczysz go zresztą.

Nagle w mózgu Elizy powstał szybki, jasny, ścisły plan. Wbiegła za parawan. Błyskawicznie zmieniła swój płócienny malarski fartuch na prześliczne morelowej barwy kimono. Pyszne, kędzierzawe, rude, jak słońce jesienne włosy spiętrzyła nad twarzą wymowną i bladą, jak oblicza pięknych, dziwacznych chimer Gustawa Moreau. Wykwintne, smukłe nogi obciągnęła cienką pończochą barwy kimona i maleńkie stopy uwięziła w płytkich pantofelkach z czarnego jedwabiu. Niedostrzegalną niemal linją ołówka nadała oczom wyraz drapieżny, obłokiem różowego pudru zgasiła swą głęboką, posągową bladość i usta jej spłonęły jaskrawą barwą wiśni, zapożyczoną od karminu Guerlin'a.

Kiedy wyszła z za parawanu, Brzozowiecka wydała okrzyk niemiłej niespodzianki. W tej samej chwili ktoś zapukał i do pracowni wszedł „mały".

II

„Mały" był olbrzymim dryblasem w doskonale skrojonym garniturze, z wygoloną, pełną i rumianą twarzą typowego obywatelskiego synka, z ładnemi świeżemi ustami i białemi zębami, jaśniejącemi w nieco zakłopotanym uśmiechu.

Miał bary atlety, duże ręce i nogi, obute w olśniewające lakierki. Jego ciemne oczy patrzyły śmiało i prosto. Był w nich jakiś dziecinny bezwstyd, zmieszany z pewnością siebie olbrzyma, który wie, że podoba się ładnym i żądnym „wstrząsających" wrażeń kobietom.

Eliza skonstatowała, że „mały", jak na mężczyznę, płaczącego u nóg kobiety z rozpierającej go miłości i na kandydata na samobójcę, oraz młodzieńca, którego ciągle boli głowa, wygląda doskonale.

Brzozowiecka z dumą zaprezentowała jej swego „małego". I natychmiast kazala doskonale odżywionemu samobójcy z bicepsami Cyganiewicza usiąść u swoich nóg na niskim i kruchym taburecíku.

Taburet trzasnął groźnie i jęknął boleśnie pod tym nieoczekiwanym ciężarem. „Mały" spojrzał z niepokojem na Elizę i wybuchnął serdecznym, zupełnie chłopięcym śmiechem.

— Taki jestem olbrzymi... Przepraszam panią — tłumaczył się zabawnie. — Ale pani Stefanja każe mi stale udawać pazia, zapominając o moich wymiarach.

Delikatna ironja tych słów, rzuconych z dziecinnym uśmiechem, uderzyła Elizę.

— Inteligentny chłopak — pomyślała, kokietując go zlekka przeciągłem spojrzeniem i zalotnym półuśmiechem.

— O, zaraz olbrzymi... Takie to małe, a już mówi — zażartowała płasko Brzozowiecka. — Ledwie się to od maminej spódnicy odczepiło, a już się stawia... Niech mi to da zaraz papierosa.

„To" miało przez chwilę na świeżych czerwonych ustach leciutki wyraz jakby niesmaku czy ironji i bez zbytniego pośpiechu podało Brzozowieckiej otwartą papierośnicę.

— Jak tu u pani ślicznie — skonstatował olbrzym ze szczerym zachwytem. — Przez ten szklany dach widzi pani słońce, księżyc, gwiazdy i niebo. Tyle kwiatów... Czy można co zagrać? — wskazał na pianino.

— Trzeba ci wiedzieć, że to ślicznie gra — pochwaliła się Brzozowiecka, wypinając biust, spłaszczony odtłuszczeniem i karmieniem trojga latorośli.

Nie czekając na odpowiedź, „to" usiadło przy pianinie i prześlicznie, miękko i marząco zagrało „Wiosnę" Griega. Coś niewymownie czarującego było w interpretacji subtelnego cacka muzycznego, przesyconego radosnym smutkiem i smutną radością.

Eliza spojrzała uważnie na „małego". Zdziwiła ją i zachwyciła gra tego olbrzyma o dużych, silnych rękach i torsie gladjatora. Zadumały się o czemś niewiadomem, pięknem i dalekiem bezwstydnie śmiałe, ciemne oczy chłopca i białe jego czoło, na które opadły czarne, wijące się włosy. W tem ogromnem, zdrowem młodzieńczem ciele objawiła się dusza, głęboko czująca, delikatna i rozkochana w pięknie.

Gdy skończył, — odwrócił głowę ku Elizie i powiedział zuchwale:

— To było dla pani. A teraz coś dla pani Stefanji.

I zagrał wściekłego, hałaśliwego Charlestona, a później walca z „Księżniczki Czardasza". I błyskawicznie zamienił się w lekkomyślnego łobuza, ładnego i zepsutego chłopca, który wie, że podoba się kobietom, choć przez dobry smak nie okazuje tego zbyt demonstracyjnie.

— Niech mi to jeszcze zagra „Dreaming" — rozkazała kapryśnie Brzozowiecka. — Czy wiesz, że u nas w Częstochowie to grało mi tego walca często całemi godzinami, aż mężowi uszy puchły, bo on wcale nie jest muzykalny...

— Mąż niemuzykalny, mąż nie grający ani charlestonów, ani walców z „Księżniczki Czardasza" jest zbrodniarzem — zaopinjował z powagą olbrzym, rzucając Elizie spojrzenie tajemnego porozumienia.

— A więc pan zna pana Brzozowieckiego? — zapytała malarka.

— Mam przyjemność — odpowiedział młody człowiek z nieco ironicznym ukłonem w stronę Stefy.

— Mój mąż nawet bardzo to lubi. Grają czasem w szachy, ale to woli flirtować ze mną przy pianinie, albo bawić się z dziećmi.

— Cóż za wzruszający obraz familijnego szczęścia — rzuciła cicho Eliza, przyglądając się uważnie ładnemu olbrzymowi i zapytując się, jaki kaprys podszepnął mu osaczenie cnoty tej nieinteresującej, ograniczonej i niepponętnej kobiety?

Czyżby był już aż tak zepsuty, że pragnął wstąpić w ślady markiza de Valmont Laclos'a, odgrywającego z monstrualnem wyrafinowaniem komedję miłości wobec uczciwej prowincjonalnej prezydentowej?

Jego poprawne, podszyte lekko łobuzerją maniery, zdradzały, że pochodzi z tak zwanej „dobrej rodziny". Jakże mógł zatem nie widzieć w tej sztywnej, pozującej na damę istocie, mówiącej gminnym, ciężkim językiem parwenjuszki, owej Stefki Wątorek, którą Eliza znała przed laty na szkolnej ławie? Syna zamożnych rodziców nie mogły olśnić ani brylanty, ani sześć pokoi pani Brzozowieckiej, ani jej kucharka za sto pięćdziesiąt złotych miesięcznie, czy bona Francuzka.

— Więc co? Więc co? — rozmyślała Eliza, obserwując tę przekwitłą, pewną siebie, bogatą mieszczkę i młodego chłopca, żonglującego naprzemian artyzmem, ukrytym pod łobuzerskim uśmiechem i ironją, zamaskowaną sztuczną powagą.

I pragnąc zbadać dokładniej sytuację, złowić jakiś

atom prawdy, uchwycić jakiś przebłysk istotnego stanu rzeczy, nawiązała zręcznie rozmowę o miłości małżeńskiej i wiarołomstwie.

— Nie wgłębiając się w kwestję wiarołomstwa, pragnęłabym bardzo, aby kobieta, popełniająca je, angażowała się w tę niemiłą i brzydką historję, mając za sobą jakieś logiczne usprawiedliwienie — powiedziała z zadumą Eliza, patrząc przez szklany dach w różowo gasnące słońce.

— Naprzykład? — podjął wojowniczo „mały".

— Namiętność, nawet elementarną, zwierzęcą, ślepą na wszystko i głuchą na głos obowiązku. Namiętność — albo miłość.

— Więc pani odróżnia namiętność od miłości?

— Oczywiście. Żądza nie jest miłością. Odpowiem panu zresztą słowami Balzaka: „Miłość jest harmonją żądzy i uczucia. Jest poezją zmysłów. Dzieli los wszystkiego, co jest w człowieku wielkie i co zrodziło się w świecie myśli".

— Jesteście nudziarze — ziewnęła Brzozowiecka i dodała ze zdumiewającą szczerością: — Mówicie tak, że nic nie rozumiem.

— Nie powinna się pani do tego przyznawać — palnął z akcentem lekkiego zniecierpliwienia olbrzym. — Tem bardziej, że mówimy przeciętnym stylem ludzi, którzy trochę myślą i trochę czytają.

Brzozowiecka wydęła usta i namyślała się, czy ma się obrazić, czy ustąpić wobec groźnego, bo silniejszego mózgiem i wymową przeciwnika. Wybrała to ostatnie i powiedziała macierzyńsko, z przekomicznym grymasem niezręcznej kokieterji:

— Niech to się nie stawia... Niech to zbierze mi wszystkie moje rzeczy — torebkę, parasolkę, rękawiczki i idzie ze mną do kawiarni na podwieczorek i muzyczkę.

Olbrzym westchnął, spojrzał z żałem na śliczne wnętrze tej podniebnej pracowni, na której tle tak groteskowo rysowała się wysznurowana, strojna, przeraźliwie banalna sylwetka fabrykantowej z Częstochowy. Jego ciemne, zuchwałe oczy przypadły do kobiety-artystki, wtulonej niedbale w kwieciste poduszki niskiej otomany, kobiety tajemniczej i niepokojącej, jak chimery Gustawa Moreau.

— Ach, jaki kapitalny akt kobiecy! — zatrzymał się przed podłużnem płótnem, na którem różowiło się sprężone, gibkie, piękne ciało, tonące we włosach koloru słońca i miedzi. — Tyle ciepła, tyle życia...

— Więc pan zna się także na malarstwie? — zdziwiła się trafnością obserwacji Eliza.

— Po dyletancku — ukłonił się skromnie młody chłopiec.

— Niech pan tam nie patrzy. — Napół ze złością, napół ze śmiechem podbiegła do płótna Brzozowiecka. Patrzyła z zażenowaniem mieszczki i niechęcią kobiety zazdrosnej o to różowe, dyszące życiem piękno nagości i nagle zaopinjowała:

— Nieprzyzwoita i tłusta.

— I bez gorsetu — dorzucił ironicznie „mały".

— Dziwię ci się, moja Elizo, że malujesz takie świństwa — chłodno wycedziła urażona w swym wstydzie niewieścim Brzozowiecka. — Niedarmo ludzie o tobie mówią, że zeszłaś na złą drogę.

Eliza i olbrzym parsknęli jednocześnie szalonym śmiechem. Brzozowiecka wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, doprawdy, z czego pękacie ze śmiechu... A ty, Elizo, zgorszysz mi „małego".

— I znów go rozboli głowa — pomyślała złośliwie Eliza i rozpoczynając wykonanie swego planu, zręcznie i szybko ukryła złotą cygarniczkę dawnej koleżanki pod stosem ilustracyj.

Kiedy goście byli już na ulicy, podbiegła do okna i zwinąwszy dłoń w trąbkę, krzyknęła z wysokości czterech pięter:

— Cygarniczka została!

Brzozowiecka zajrzała do swego eleganckiego portfelu i powiedziała coś „małemu", który znikł, wracając po cygarniczkę.

Eliza szybko przybrała przed lustrem maskę kusicielki błogosławiąc fakt, że w każdej kobiecie tkwi zręczna aktorka. Półleżąc na otomanie, czekając w omdlewającej pozie na olbrzyma, przeklinającego cztery piętra i niewdzięczną rolę usłużnego pazia.

Kiedy wszedł gniewny i zdyszany, wyciągnęła do niego rękę z cygarniczką i powiedziała z dwuznacznem spojrzeniem z pod uwodzicielsko zmrużonych rzęs:

— To był tylko pretekst. Niech pan zgubi gdzieś Stefkę i za godzinę tu przyjdzie. Czekam.

Olbrzym „zdębiał". Patrzył na Elizę z zakłopotaniem i nagle zrozumiał. Cień radosnego rumieńca przebiegł po jego twarzy. Zuchwałe oczy roześmiały się zwycięsko do tego nowego, nieoczekiwanego triumfu. Białe zęby błysnęły w drapieżnym, odrażającym uśmiechu samczej zarozumiałości. Gruchocząc rękę Elizy w olbrzymiej, gorącej dłoni, omal nie połknął jej w ludożerczych, drapieżnych pocałunkach.

— Będę za godzinę — powiedział zdławionym głosem.

— Czekam — rzuciła mu cicho i obiecująco Eliza, patrząc, jak ginie za portjerą, dzielącą pracownię od przedpokoju.

Ostatnie spojrzenie jego było tak wulkanicznie namiętne i tak pełne zuchwałej dumy, że Eliza, ukrywszy twarz w poduszkach sofy, parsknęła śmiechem.

Ale gdy zmilkły ciężkie i szybkie kroki na schodach, gdy w liljowym zmroku zgasło słońce, ogarnął ją przeraźliwy smutek i jakby żal, że wmieszała się w losy Stefki Wątorek i jej pazia-olbrzyma. Ileż takich Stefek stoi u wrót wiarołomstwa i iluż takich młodych chłopców czyha na zburzenie w jednym momencie wierności dochowywanej zasługującym na nią mężom i losu kilku ludzkich egzystencji, związanych z istnieniem Stefek?

— Cóż to mnie właściwie wszystko obchodzi? — pomyślała z niesmakiem i zniechęceniem. — Że jakaś tam pani Brzozowiecka powiększy grono prowincjonalnych pań Bovary? Że jakiś pan Brzozowiecki zamiast żony wiernej będzie miał żonę wiarołomną, która sobie urządza częste eskapady do „jego siostry"? Że jakieś tam nieznane dzieci — — —

Wzrok Elizy padł na zapomniane przez Stefkę fotografje. Przez łzy patrzyła na jasne główki dziewczynek. Przypomniało się jej własne, dawno zmarłe dziecko — jedyne, ponad wszystko ukochane i cudownie piękne. Przypomniały jej się bezsenne noce zaciekłych walk nad jego łóżeczkiem, rozpaczliwych walk z rodzącą się miłością, którą wzbudził w niej, wówczas cudzej żonie, człowiek o wielkim umyśle i wspaniałej głowie rzymskiego imperatora. Matka zwyciężyła kobietę. I Eliza, opuszczając po śmierci dziecka zimny, pusty dom obojętnego męża o ciasnym mózgu i pospolitej duszy, wyniosła z sobą jakąś dziecinną radość, że nigdy nie wracała do tego domu z ustami, płonącemi jeszcze od pocałunków kochanka i nigdy nie pochyliła nad białem łóżeczkiem dziecka głowy, obciążonej brzemieniem zdrady.

I znów podjęty plan wydał jej się dziełem sprawiedliwości, a wykonanie jego czynem ważnym i pięknym.

Walcząc ze smutkiem, z cierpieniem wspomnień przeżytych ciosów, zmieniła morelowe kimono kusicielki na szary płócienny fartuch malarki. Przygładziła niesforne, wijące się włosy, otarła oczy z tuszu i usta z karminu. Stała się znowu sobą. Jej szerokie czoło zajaśniało nad bladą twarzą, jak płyta marmuru, na której życie wypisało godło: uczciwość, cierpienie, twórczość. Ujęła pendzel, zatopiona na nowo w swej kompozycji. Lecz po za artystką czuwał w niej człowiek, gotujący się do walki z bezsensem czynu brzydkiego i nieuczciwego. (Dok. nast.)

KRONIKA

WYSTAWA POLSKA W PARYŻU. W tych dniach została zamknięta wystawa polska, mieszcząca się w dostojnym gmachu „Jeu de Paume", przy placu Zgody w Paryżu — po blisko dwumiesięcznej egzystencji.



Afisz Wystawy Polskiej w Paryżu

Dla znających paryskie stosunki jest to rzadkim, przeto godnym zanotowania wypadkiem, by wystawa cudzoziemska, przytem nie specjalnie artystyczna, a historjozoficzna o podłożu społeczno-politycznem, cieszyła się tak długotrwałem powodzeniem. Nie jestem dokładnie poinformowany jaka była frekwencja zwiedzających wystawę, przypuszczam jednak, że musiała być dość liczna, jeżeli termin jej przedłużono blisko o cały miesiąc.

Ideą przewodnią wystawy było wykazanie zagranicy twórczego wysiłku Polski, we wszystkich dziedzinach bytu, jako czynnika międzynarodowego, na przestrzeni całego stulecia (1830—1930).

Wobec powyższego nasuwa się samo przez się pytanie, na które chciałbym jak najobjektywniej odpowiedzieć, czy wystawa spełniła zamierzony przez organizatorów cel?

Wiadomo wszystkim, że od zamiaru do wykonania każdego poważnego przedsięwzięcia dzieli przepaść, którą nie zawsze mimo świadomości celu, dużych wysiłków i rzetelnej pracy da się zwycięsko przebyć.

Gdyby na wyżej postawione pytanie odpowiedzieć głosami prasy francuskiej, to wystawa bezwzględnie spełniła swe zadanie. Przeważnie cała prasa francuska o wystawie wyrażała się bardzo pochlebnie oraz nie szczędziła słów uznania dla organizatorów i wykonawców wystawy.

Rzeczywiście, należy przyznać, że wystawa mimo dość dużych braków i luk, robiła poważne i nadzwyczaj miłe wrażenie. Dlatego prawdopodobnie wywołała tak duży oddźwięk wśród cudzoziemców, a szczególnie wśród Francuzów. Widz obcy nieuprzedzony, bez specjalnego „nastawienia" krytycznego i koterji, został tak wnętrzem nad wyraz estetycznem, jak również poszczególnemi fragmentami wystawy, że się tak wyrażę — z miejsca zdobyty.

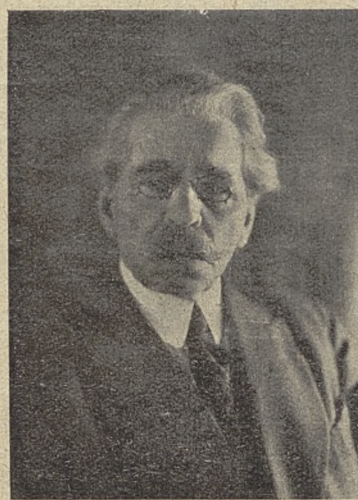
Szczególnie sale na parterze, przedstawiające historję naszych walk o wolność i naszą martyrologję w epoce porozbiorowej, przy pomocy obrazów Chełmońskiego, Michałowskiego, Rosena, Szmuglewicza, Juljusza i Wojciecha Kossaków, Tetmajera, no i cudownych rysunków „Polonia i Wojna" Grottgera, znakomicie ilustrowały najpamiętniejsze fakty tego okresu. Rzeźby, rozmaite dokumenty, pamiątki, gablotki z orderami, portrety i poszczególne sceny batalistyczne uzupełniały całość.

Za mało może podkreślono ostatnią naszą wojnę i zwycięską bitwę pod Warszawą. A przecież wojna z bolszewikami i zwycięska bitwa pod Warszawą w 1920 roku, nie była tylko naszą sprawą, lecz sprawą całej Europy. I właśnie do niej chyba najwięcej odnoszą się słowa umieszczone na jednej z sal „za naszą i waszą wolność".

Na piętrze pokazano Polskę współczesną, budującą swe państwo od podstaw. Kompozycje plastyczne w postaci map, tablic, wykresów statystycznych, fotomontaże i pejzaże, dały wyobrażenie wyścigu pracy Polski — Mocarstwa.

Zestawiając to wszystko, trzeba przyznać, że wystawa w „Jeu de Paume" była zdaje się pierwszym, poważnym wyczynem propagandowym na tutejszym terenie. Tak organizatorom wystawy w osobach Antoniego Potockiego (komisarza rządowego i inicjatora wystawy), prof. Jastrzębowskiego, prof. Tretera i Z. Klingslanda (generalnego sekretarza), jak również wykonawcom, w osobach pp. Kurmana, Kopczyńskiego, Manteuffla, należy się szczere uznanie.

TADEUSZ ZBIGNIEW HANUSZ



ANTONI POTOCKI
komisarz rządowy Wystawy

W OBRONIE MALAREK POLSKICH. — Witold Zechenter zabiera głos na wielu polach: radja, filmu, sportu, propagandy medycyny, polityki, metampsychiki, krytyki literackiej i t. d. Pisuje wiersze „radjowe", „lotnicze", „podróżnicze", „filmowe", „metampsychiczne". Ostatnio zaczyna uprawiać krytykę... malarską. I tu mamy coś do powiedzenia. W „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym z dnia 22-go grudnia 1930 roku, w artykule „Salon jesienny w Paryżu" — Witold Zechenter tak pisze: „Zadziwia zatrważająca produkcja kobieca, nie dająca niestety nic." — — — „Należy się wprost dziwić skąd tyle kobiet maluje? Wiele z nich maluje dlatego, że malują ich mężowie". I wśród młodych nazwisk utalentowanych malarek wylicza nawet nazwiska wybijające się, jak: „Aleksandrowiczówny, Piramiczówny, Łazarskiej." „Można ostatecznie malować, ale poco to wystawiać?" — O Piramowiczównie „Wiadomości literackie" Nr. 26 z 29 czerwca 1930 r., zamieściły entuzjastyczny artykuł Klingslanda z fotografją malarki i dwiema reprodukcjami. Pismo nasze, zawsze popierające poważną twórczość kobiecą, tym razem stanąć musi w obronie zdolnych malarek polskich, które i tak z trudem wyrabiają sobie nazwisko za granicą.

QUIS

PRZEGLĄD KSIĄŻEK

THORNTON WILDER: Most San Luis Rey. Wyd. Instytut „Renaissance".

— „nie słyszał tego, czego nie słyszy większość czytelników — bicia serca — tego, co jest istotą literatury. Styl, to marne naczynie, w którem gorzki trunek poleca się światu" —

Tak mówi Thornton Wilder. I mówi prawdę a popiera ją każdem słowem swej pięknej powieści. Słowem tem, pełnem prostoty, głęboko wnikającem w treść, przyprowadził autor czytelnika i pochylił nad dziwnym, bolesnym splotem serc. Łączy je miłość namiętna, tragiczna i wątła jak wszystko co ziemskie, jak wątły był odwieczny most San Luis Rey — w Limie. Pewnego dnia — most przerwał się jak struna zbyt silnie trącona i przerwał się także wątły splot uczuć pięciu istot kroczących mostem, ku przeznaczeniu. Ale wówczas, łukiem tęczy rozpiął się i zawisnął most nowy i mocny, miłości łączącej żywych z zmarłymi. Gdyż ponad wszystko, ponad życie i śmierć jest jedna tylko miłość, miłość dusz — w Bogu.

Autor tej książki jest Amerykaninem. Ale dzieło jego przeczy dobitnie ogólnie przyjętemu przeciętnemu wyobrażeniu o powieści amerykańskiej. Powieść „Most San Luis Rey" ma prawo obywatelstwa wśród najpiękniejszych powieści świata.

J. O.

Dr LUDWIKA JELEŃSKA: Sztuka wychowania. — Nakładem „Naszej Księgarni". — Znana i zasłużona autorka szeroko wśród nauczycielstwa rozpowszechnionej i żarliwie czytanej „Metodyki pierwszych lat nauczania", obdarzyła nas znowu nową nieprzeciętną książką, która zarówno jak i poprzednia (jeśli nie więcej) będzie rozchwytywana przez tych, którzy umieją cenić dzieła o nieprzemijającej wartości i lubią się w nie wczytywać.

Z HIGJENY I KULTURY CIAŁA

PIĘKNA, CZYSTA CERA jest nigdy niewyczerpanym tematem pogawędek higjeniczno-kosmetycznych. Cokolwiekby się już o niej napisało, cokolwiekby się wiedziało, zawsze znajdzie się jakiś nowy szczegółik, albo też jakiś zapomniany lub przeoczony.

I nic dziwnego. Cera zmienia się nieustannie czy to z biegiem lat, czy w następstwie przebytych chorób lub wzruszeń psychicznych, czy też zadrażnień i uszkodzeń zewnętrznych. A za każdą zmianą interesuje się jednostka najbardziej tem, co jej cery dotyczy, inne zaś spostrzeżenia pomija obojętnie, albo po przeczytaniu łatwo zapomina. Stąd więc potrzeba wracania do tematu pozornie znanego.

Czysta, gładka, soczysta i elastyczna cera opromieni każdą twarz urokiem. A taką właśnie powinna być normalna cera. Cera z okresu lat dziecięcych, która mogłaby i właściwie powinnaby trwać znacznie dłużej, gdyby nie to, że robimy wszystko, by ją popsuć. Nie z rozmysłu, rzecz jasna, ale z nieświadomości.

Poprostu za mało zajmujemy się prawidłową cerą w teorji i w praktyce. Za rzadko o niej piszemy, za mało starań jej poświęcamy. Staje się dla nas ważna dopiero wtedy, gdy zauważymy pierwsze niekorzystne zmiany. Zapominamy, że łatwiej utrzymać to, co już posiadamy i zapobiec złemu, aniżeli zwalczać je później.

Czystość cery zależy od ogólnego stanu zdrowia, dobrego trawienia, prawidłowej przemiany materji, normalnego funkcjonowania gruczołków wydzielających gromadzące się nieczystości. Wadliwe krążenie krwi odbija się szybko na karnacji, zabarwia skórę na blady lub szary kolor; ucisk jakiejś części ubrania lub obuwia wywołuje zaczerwienienie nosa. Nie bez znaczenia jest również skład krwi: nadmiar kwasów sprowadza żółknięcie i szorstkość skóry, brak dostatecznej ilości żelaza, nadmierną bladość. Ale nadewszystko złe trawienie upośledza i zanieczyszcza cerę.

Nawet rodzaj wiktu zdradzi nam twarz. Cera błyszcząca, tłustawa mówi o diecie obfitej, ciężkiej, zawierającej sporo tłuszczów; dieta skąpa, niedostateczna sprowadza suchą, wiotką skórę.

Skóra musi oddychać prawidłowo; zatkane pory bowiem gromadzą nieczystości, które nie mogą się wydostać nazewnątrz. Zczasem zbiera się na nich pył i w ten sposób powstają utrapione wągry.

Wpływ życia duchowego na wygląd skóry jest niezaprzeczony, a rzadko która z pań przypuszcza jak bardzo ważny. Ludzie zrównoważeni, pogodni, życzliwi, spokojni mają przeważnie gładką skórę, nie tak podatną do powstawania fałdów, bruzd i zmarszczek, jak to się dzieje u natur o burzliwem życiu wewnętrznem. Nieopanowane namiętności, wybuchowe temperamenty przynoszą poorane tajnemi znakami oblicza.

Skóra nie jest czemś tak wątłem i delikatnem, jak się nam wydaje. Składa się przecież z kilku warstw, z których tylko zewnętrzna warstwa, t. j. naskórek, wystawiony jest na działanie zmian atmosferycznych. Skóra podlega jednak stałemu, niewidocznemu łuszczeniu się, a na miejsce ustępujących komórek przychodzą nowe z warstwy następnej. Różne zabiegi higjeniczne jak mycie, pocieranie, masaż i t. p. przyśpieszają ten proces odnowy komórek.

Ostatnia warstwa skóry zawiera naczyńka krwionośne, nerwy i gruczoły tłuszczowe, służące do odżywienia włosów, pozatem korzonki włosów i gruczoły potowe.

Naskórek jędrny, elastyczny broni wstępu drobnoustrojom. Tę właściwość zawdzięcza skóra tylko normalnie funkcjonującym gruczołom tłuszczowym. Tak nadmierne, jak za skąpe wydzielanie tłuszczu unicestwia tę cenną właściwość.

Do usuwania zewnętrznych nieczystości skóry rozporządzamy różnemi środkami, wśród których na pierwszem miejscu wymienić należy mydło i wodę. Coprawda, istnieje dużo przeciwników mydła do mycia twarzy i szyi, ale są to rzeczy zależne od stanu skóry, jej wad i stopnia wrażliwości. Jedni więc zalecają je, drudzy ganią, ale i ci i tamci mogą mieć słuszność. W każdym razie nie należy trzeć skóry mydłem, lecz pianą rozrobioną w dłoniach, a następnie dokładnie spłókać w kilku wodach. W ciepłej, a na ostatku w zimnej. Nie w gorącej, bo ta stale używana rozszerza wkońcu pory. Gorąca woda wskazana jest tylko na okres leczenia pewnych wad.

Poza mydłem i wodą, miękką, oczywiście, posługujemy się do usuwania brudu z twarzy i szyi żółtkiem z jaja, następnie oliwą jadalną lub wyrabianą specjalnie do celów kosmetycznych, kremami oczyszczającemi, wreszcie płynami o odpowiednich składnikach. Czytelniczki „Świata Kobiecego" wiedzą o tem dobrze, że wszystko w poradach kosmetycznych należy traktować indywidualnie, zatem i środki do mycia. Najważniejszą rzeczą jest poznanie własnej skóry, szybkie orjentowanie się w zaszłych zmianach i zastosowanie odpowiednich zabiegów. Najłatwiej rozpoznają panie tłustą skórę, ale w początkowym okresie powstawania suchej nie orjentują się z reguły. A to jest dla piękności bardzo ważna chwila, decydująca o zmianie karnacji, o zmarszczkach i innych wadach. Skóra musi być systematycznie odżywiana; trzeba starannie unikać wysuszania jej wodą kolońską lub wodami zawierającemi alkohol. Każde mycie taką wodą, np. w podróży, musi być poprzedzone nasyceniem skóry tłustym kremem. To samo przy używaniu środków ściągających, gdy idzie np. o rozszerzone pory.

Lekkie łuszczenie się twarzy np. z wiosną, lub po zadziałaniu wiatru, wymaga natychmiast natłuszczenia i to nietylko na noc ale i na dzień pod puder. Po dłuższem zadziałaniu zimna lub wiatru na twarz dobrze jest zastosować masaż tłustym kremem i wstrzymać się przez dzień lub dwa od mycia wodą i mydłem.

Przy staraniach o twarz nie wolno omijać szyi, lecz równomiernie dbać o nią. Do zachowania elastyczności mięśni szyi niezbędne są ćwiczenia. Jeżeli szyja jest za szczupła, a skóra wiotczeć zaczyna, trzeba pobudzić krążenie krwi przy pomocy masażu tłustym kremem i odżywić ją w ten sposób.

Dla utrzymania pięknego owalu dobrze jest zakładać opaskę pod brodę, zwłaszcza przy pracy i przy pochylonej głowie. Powstawaniu podwójnego podbródka sprzyja wadliwe trzymanie głowy i sypianie z głową wysoko ułożoną.

Stosowanie co pewien czas płynnych maseczek jest bardzo korzystne. Pobudzają one krążenie krwi, a przy zastyganiu ściągają rozszerzone pory i wydobywają z nich nagromadzone nieczystości. Jednak nieodzownym warunkiem dobrego działania maseczek jest jak najdokładniejsze oczyszczenie skóry przed zabiegiem.

Wątłe brwi wzmocnić można i porost pobudzić przez natłuszczanie ich, oraz powiek, czystą wazeliną uważając przytem, by tłuszcz nie przedostał się do wewnątrz oczu. Oprócz natłuszczania działa korzystnie leciutkie naciąganie włosków, które odgrywa tu rolę masażu.

Nie wolno, oczywiście, szarpać lecz wykonywać ruchy podobne do delikatnego skubania i to w kierunku naturalnego układania się włosków, nigdy w przeciwnym.

EFEB

PLOTECZKI O MODZIE

Praktyczne komplety — są teraz hasłem mody wiosennej w Paryżu. Praktyczność ich polega na tem, że można je nosić cały dzień do późnego wieczora, nie straciwszy opinji modnie i dobrze ubranej kobiety, t. j. odpowiednio do każdej okoliczności i pory dnia. Taki komplet musi być ciemny, t. j. spódniczka i długi żakiet, a jasne bluzki do zmiany, zależnie od potrzeby. Przed południem bluzki krótkie, o charakterze sportowym, popołudniu i wieczorem dłuższe, strojniejsze kazaki. Zawsze jasne. Pięknie wyglądał komplet bronzowy z jasno-piaskową bluzką, wystebnowaną dyskretnie bronzowym kordonkiem na kołnierzyku, mankietach i kieszonkach umieszczonych po obu stronach tuż pod paskiem. Pasek z bronzowej skóry. Albo komplet granatowy: bluzka i kazak w kolorze białym, z zapięciem na granatowe guziczki. Żakiety kompletów ozdabiane są często zacięciami i zakładeczkami; czasem są zupełnie luźne, proste w linji, czasem zawijane, lub ściągnięte paskiem. Komplet tego rodzaju, z dobrego materjału i dobrze skrojony, odda lepsze usługi aniżeli dwie lub trzy liche suknie. Najwięksi krawcy, posiadający klientki wśród miljonerek, silą się na pomysły kompletów transformacyjnych, t. j. takich, którym drobne zmiany nadają coraz to inny charakter. Np. płaszcz z wełny brunatnej przetykanej beige i białym, suknia skromniutka z zacięciami na biodrach, bluzka z białego jedwabnego płótna. Bluzka ze skóry brunatnej powycinana ażurowo w centki, bez rękawów, włożona na suknię lub na bluzkę. Zależnie więc od tego jak skombinujemy szczegóły, mamy albo sportową suknię, albo zwykłą.





Wygoda i gust indywidualny — rządzą obecnie modą. Niema już podporządkowywań się niewolniczych pod „uniform" choćby na tem wygląd ucierpiał. Niema jednej wysokości stanu, bo każda z pań może ją uzależnić od swej figury. Tak samo z długością sukien. Naogół, zasadniczo, są dłuższe na dzień, ale sylwetka i piękność nóg lub ich brzydota reguluje rozmiary długości.





O modnych kolorach już pisałam; i tu przymusu niema. Żywe kolory w dzień — wieczorem pastelowe. Śmiałe połączenia barw biorą odwet za czasy obowiązkowych stonowań. Harmonji barw trzeba jednak przestrzegać i umieć godzić kontrasty. Ładnie wygląda brunatny z bledziutko zielonym, bronzowy z żółtym, pomarańczowy z brunatnym, niebieski z żółtym w odcieniu kukurydzy, niebieski z ciemno-popielatym, blado-żółty z blado-popielatym, natomiast ciemno-popielaty łączy się z czarnym. Do kompletów jasnych dobieramy ciemne lub czarne uzupełnienia — do ciemnych jasne lub żywe; a zatem pasek, guziczki, klamra, torebka, szal.



Wiosenne kapelusze — małe lub średniej wielkości odkrywają nadal czoło i zachodzą głęboko na kark. Berety, zawoje, toczki; trójkątne modele i klosze odwinięte nad czołem. Są miękkie i kształt ich zaznacza się dopiero na głowie, zależnie od ułożenia i nagięcia. Ulubionym materjałem miękka słomka w ciemnych kolorach. Toczki w dwóch lub trzech kolorach mają łaski u pań. Czarna słomka, przybrana czerwono-białą wstążką, koralową lub szmaragdową należy do najmodniejszych połączeń. Granatowa z białem, czarna z białem — nie wychodzą z mody.

Przybrania kapeluszy — oprócz wstążek są rozmaite. Szpilki, agrafki, klamry, pióra strusie, krótkie rajery, małe fantazje z piór, skrzydełka i ptaszki.

Do teatru — modne są malutkie czepeczki, albo właściwie czepeczki odsłaniające czoło, z pod których wysuwają się fale włosów. Modelują ściśle kształt głowy, a wykonane są z efektownych materjałów, jak np. z lamy mieniącej albo tiulu czarnego zahaftowanego kryształkami z dżetem; po bokach kaboszony dżetowe. taki drobiazg na głowę łatwo wykonać w domu z resztek balowych wspaniałości, i zahaftować własnoręcznie. Fantazja i powściągliwy gust mogą z niepozornych gałganków stworzyć wdzięczne cacka. Dobrze jest mieć w garderobie podobny drobiazg, zwłaszcza gdy nam wypadnie pójść niespodzianie do teatru, a na pójście do fryzjera już zapóźno.

Czarna, mocno lśniąca słomka — która zdaleka robi wrażenie błyskotliwego dżetu, a zbliska okazuje się przemiłym, mięciutkim materjałem, jest widocznie faworyzowana w Paryżu na kapelusze wiosenne. Na te pierwsze modele, które wkładamy tuż po zimowych. Nadaje się ta słomka zarówno na małe skromne bereciki jak i na strojniejsze popołudniowe tak jest wdzięczna w wyglądzie i układzie fałdów.



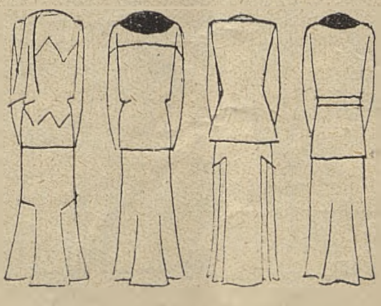
CAILLER-SOBAŃSKA

MODELE MÓD

WIOSENNE KOSTJUMY Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH



32   33   34   35



32 Kostjum z wełny deseniowej. Żakiet lekko zbluzowany, z kołnierzem skrojonym formą szalową. Spódniczka ma po obu bokach wstawiane godeciki.

33 Czarny kostjum, przybrany kołnierzem z miękkiego, płaskiego futerka.

34 Angielski kostjum z jasnej wełny. Żakiet na na biodrach kloszowo skrojony, spódniczka z odcinaną bluzą i kontrafałdami.

35 Kostjum z flaneli w paski. Kołnierz i mankiety z płaskiego futerka lub z aksamitu.



36 37 38 39



36 Komplet o charakterze sportowym. Modny kołnierz z niskiemi wyłogami, szeroki pas i duże guziki.

37 Komplet popołudniowy z czarnej krepy. Żakiet bez zapięcia, skrzyżowany, spódniczka nisko dołem skloszowana. Futerko przy szyi i na rękawach.

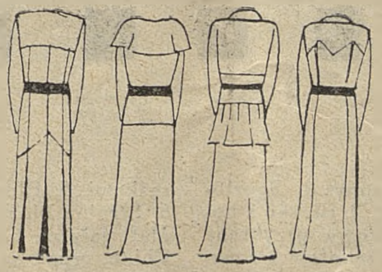
38 Praktyczny płaszczyk z jasnej wełny, zapięty w pasie na jeden guzik, przybrany zakładeczkami i wstawianemi fałdami.

39 Płaszcz krojem prostym, z miękkiej wełny lub jedwabiu. Zamiast kołnierza szal, przeciągany przez zacięcie przodu płaszcza.

SUKNIE NA OKRES PRZEJŚCIOWY Z MATERJAŁÓW KRAJOWYCH



40 41 42 43



40 Skromna suknia z ciepłej wełny, z odcinaną bluzką, układana w kontrafałdy. Krawat i szal z barwnego jedwabiu w pasy.

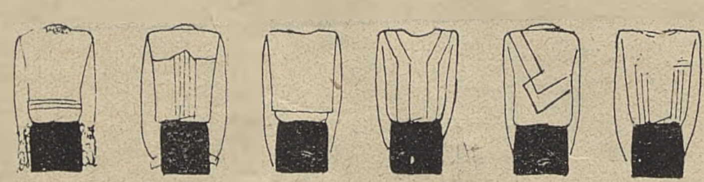
41 Suknia z pelerynką do przypinania z wełny w paski, przybrana guzikami. Szeroki pas ze skóry i zacięcia arytmetyczne na spódniczce.

42 Suknia z ciemno-granatowej wełny; krój raglanowy, kołnierz z białego futerka. Na biodrach oryginalny wolancik.

42 Suknia z czarnej wełny marocain, przybrana zacięciami i białym kołnierzykiem. Spódniczka w cięte klosze.

BLUZKI Z MATERAŁÓW KRAJOWYCH



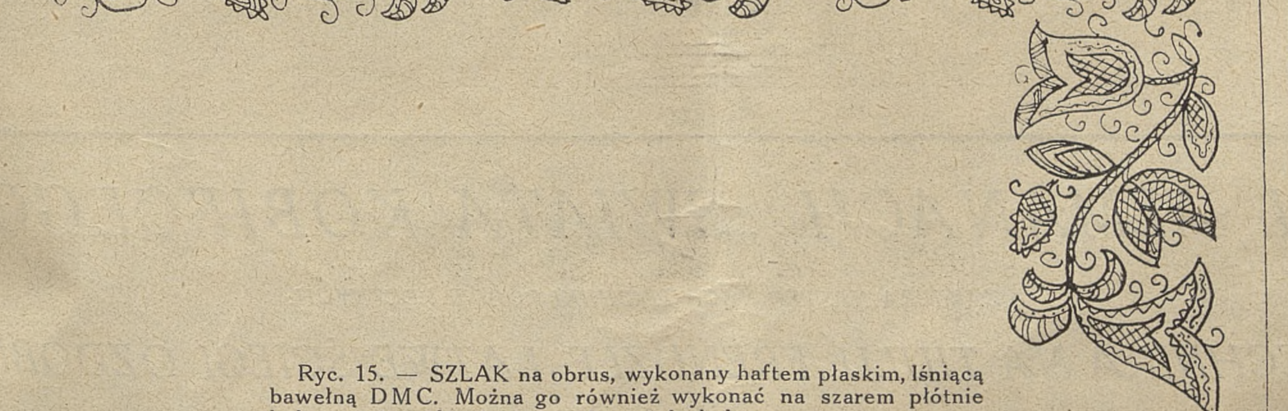


1 2 3 4 5 6

W kolejnym porządku idąc z góry od lewej strony: 1. Sportowa bluzka w zakładeczki, z odcinanym karczkiem. 2. Bluzka z bolerkiem, zapiętem na guziczki. 3. Bluzka koszulkowa przybrana zakładeczkami. 5. Strojniejsza bluzka z szalowym żabotem i z mereżkami. 5. Bluzka ozdobiona mereżkami i misternym żabocikiem. 6, Strojna bluzka z żorżety przybrana koronką i zakładeczkami. — Materjały na bluzki: jedwab do prania, jedwabna pika, crêpe de Chine, crêpe satin, żorżeta.

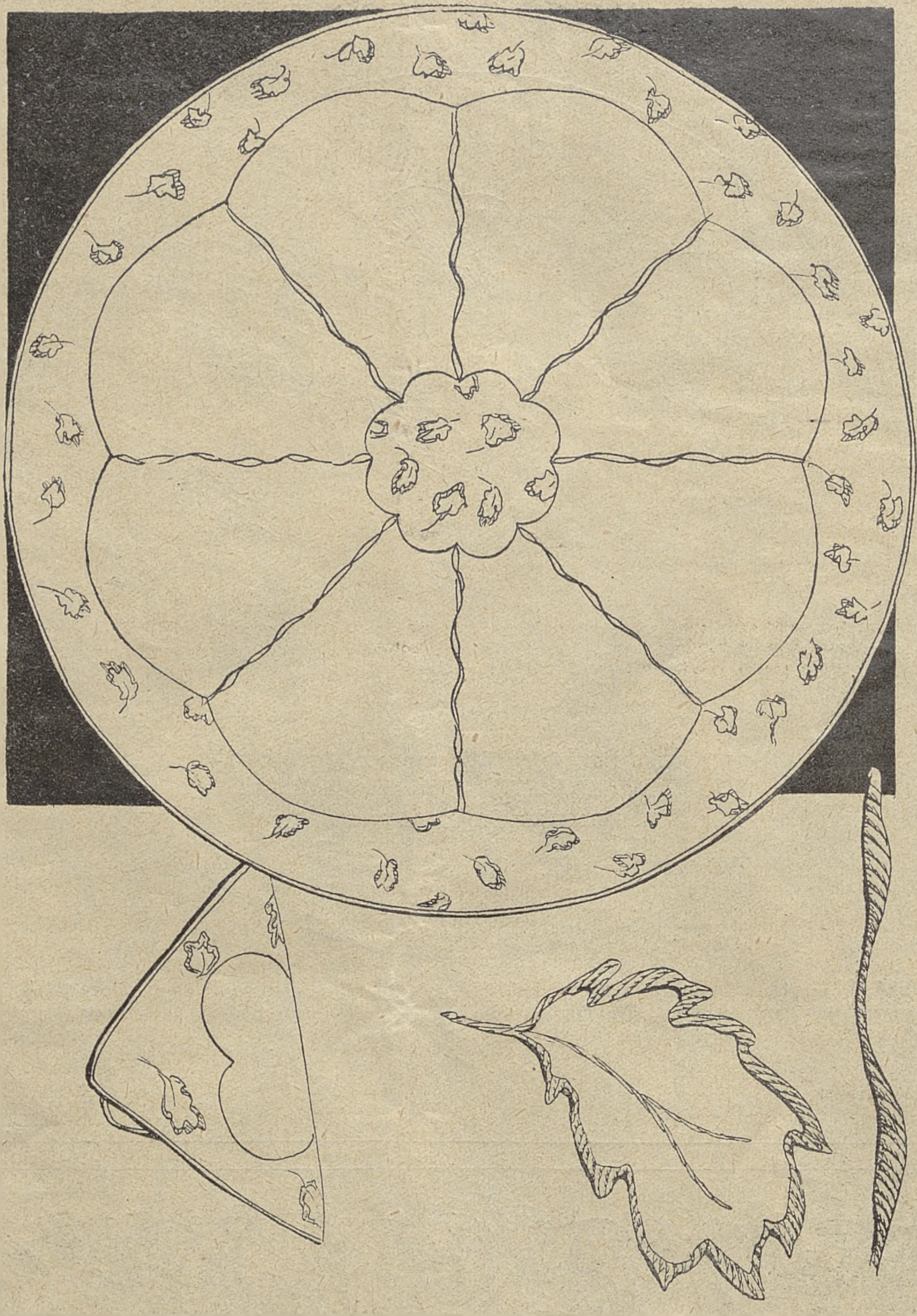


Ryc. 14. — PODUSZKA okrągła, o średnicy 23 cm, wykonana łatwym haftem kolorowym, włóczką i lacetem. Na migdałowem tle kolory: granatowy, zielony, złoty jasny, złoty ciemny. Zastosowanie kolorów podane na wzorze naturalnej wielkości.

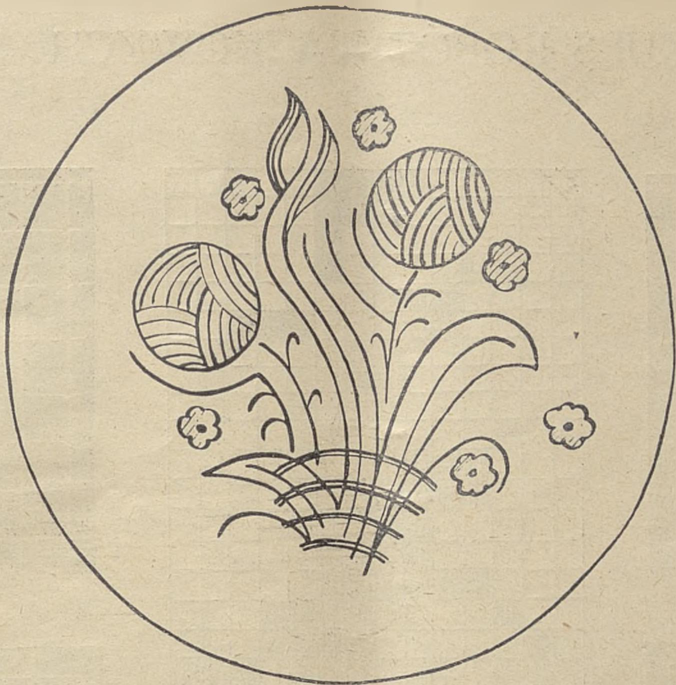


Ryc. 15. — SZLAK na obrus, wykonany haftem płaskim, lśniącą bawełną DMC. Można go również wykonać na szarem płótnie kolorową bawełną i utrzymać w stylu ludowym.

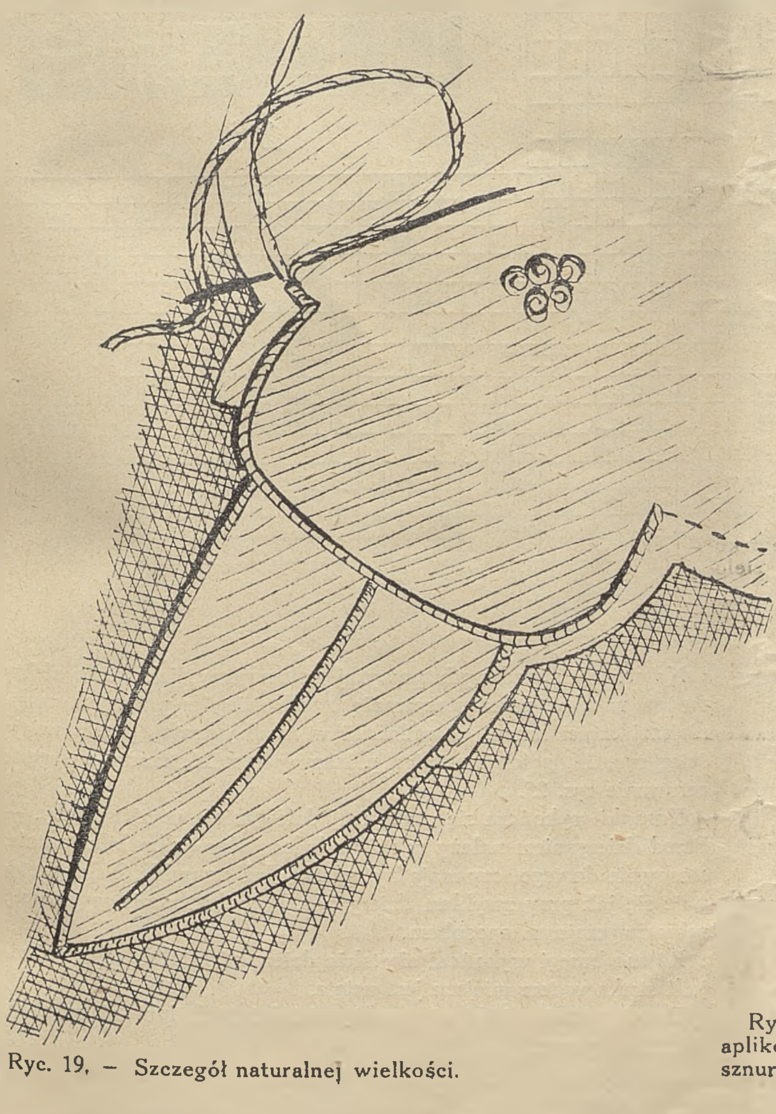
Wzory naturalnej wielkości do wszystkich robót ręcznych zamawiać można w administracji



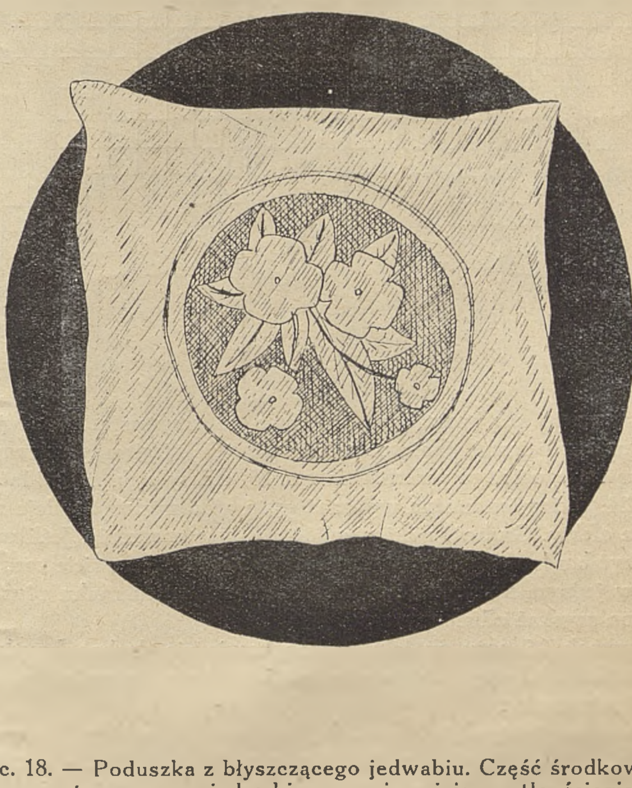
Ryc. 16. — MODNY OBRUSIK ozdobiony łatwym haftem kolorowym. Fantazyjne listki wykonane różnemi odcieniami zielonemi, albo czerwonemi, żółtemi i rdzawemi. — Szczegóły naturalnej wielkości.



Rys. 17. — PODUSZKA o średnicy 40 cm. Wzór wykonany konturowo, ściegiem łańcuszkowym drobnym. Drobne kwiatki haftem płaskim. Kolory: tło popielate, kontury liści i przekreśleń czarne, duże kwiaty stonowane od palonego złota do kremowego. Drobne kwiatki pastelowo niebieskie.

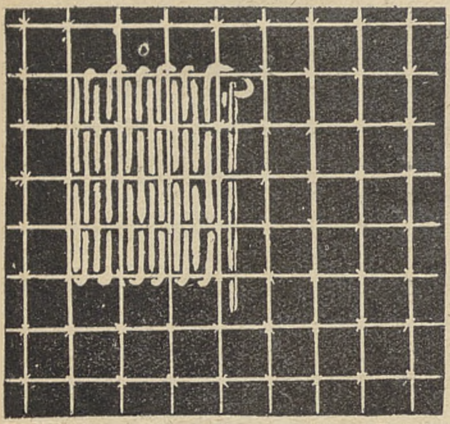


Ryc. 19. — Szczegół naturalnej wielkości.

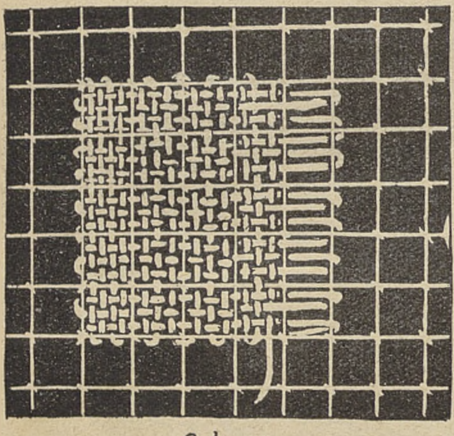


Ryc. 18. — Poduszka z błyszczącego jedwabiu. Część środkowa aplikowana tym samym jedwabiem na ciemniejszem tle, ściegiem sznureczkowym.

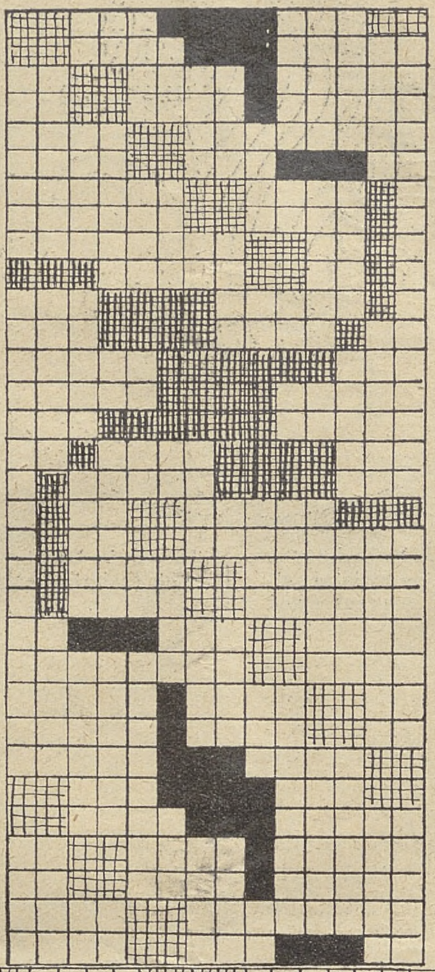
KURS ROBÓT SIATKOWYCH

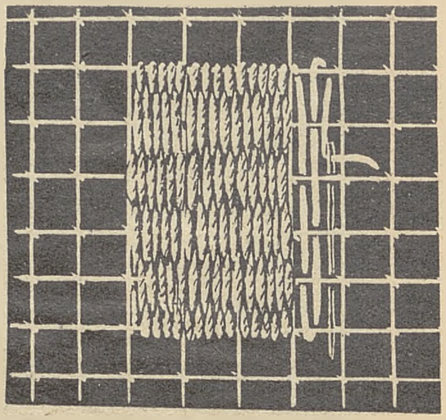


23.

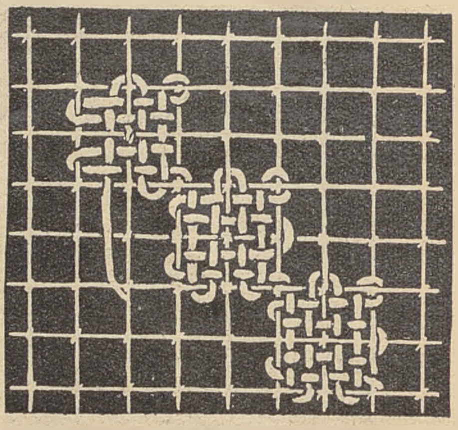


24.

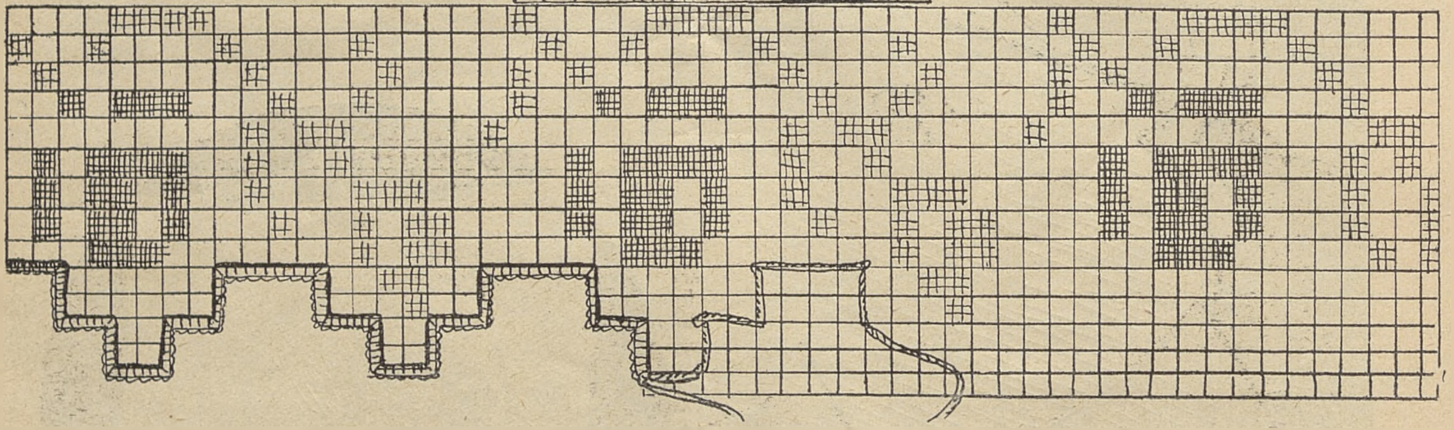




25.



26.



Najczęściej używany ścieg na siatce, to cerowanie naśladujące wiązanie płócienne, dlatego zwiemy go też ściegiem płóciennym. Początek tego ściegu przedstawia rys. 23, dalszy ciąg, zaś widać na rys. 24, Ścieg ten można wykonać gęsto albo rzadko, co daje rozmaite efekty. Grubość nitki również ma duże znaczenie. Jeśli wzór ma być bardzo gęsty, używamy innego ściegu, mianowicie cerowania w jednym kierunku, rys. 25. Przez zmianę kierunku również można uzyskać odmienny efekt.

Rysunek 26 uczy, w jaki sposób ceruje się drobne kwadraty w kierunku ukośnym. Należy tu zwrócić uwagę na umiejętne wypełnienie rogów.

Zazwyczaj wypełnia się siatkę najpierw w jednym kierunku, a następnie w drugim, wykonując w ten sposób każdy szczegół wzoru osobno, gdyż nie powinno się przewlekać nitki od jednego szczegółu do drugiego.

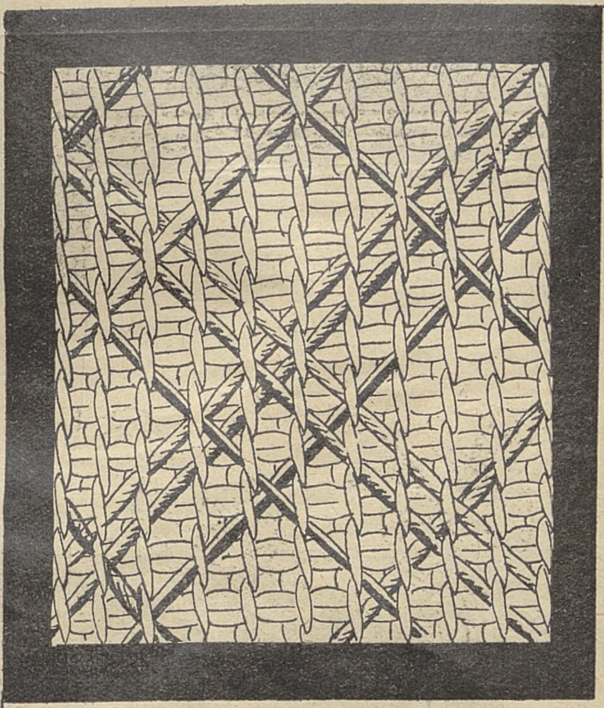
Na wzorach podanych powyżej pokazujemy, jak różne efekty można uzyskać przez stosowanie trzech ściegów podanych w niniejszej części kursu. Kwadraciki w rzadką kratkę przedstawiają ścieg rys. 26, gęściejsze ścieg płócienny rys. 24, czarne zaś gęste cerowanie rys. 25.

Koronki wykończa się zazwyczaj dzierganiem w różne zęby. — Przed dzierganiem należy ząbki podwlec jedno- albo kilkakrotnie, stosownie do tego, czy mają być płaskie lub wypukłe. Dalej postępuje się jak przy zwykłem dzierganiu. Po zakończeniu wycina się zęby zwyczajnym sposobem.

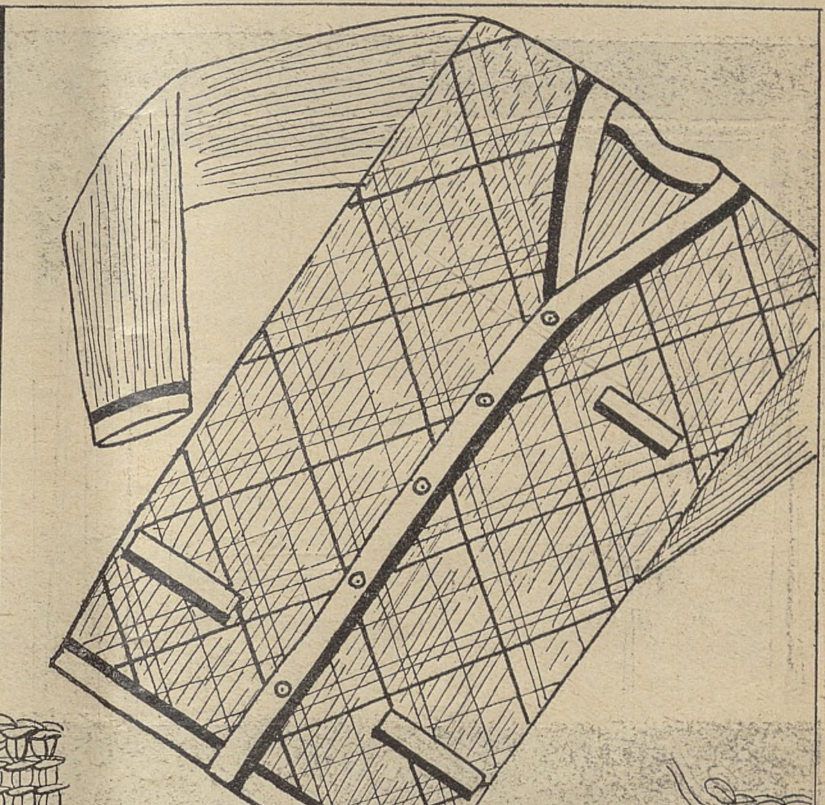
Równe brzegi wykończa się także dzierganiem albo cerowaniem, jeśli siatka w tem miejscu jest ucięta.

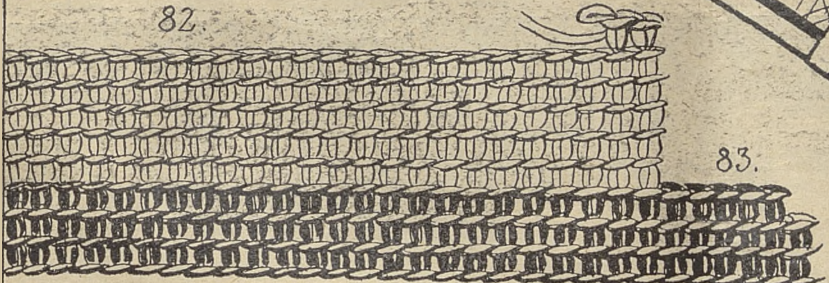
Do cerowania siatki używa się nici lnianych lub też mouliné, perlé, a repasser.

Z. KULCZYCKA

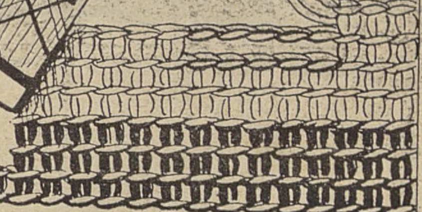


82.

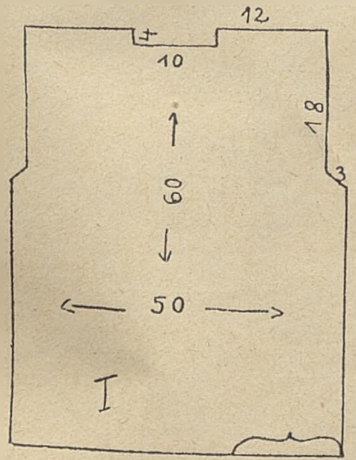


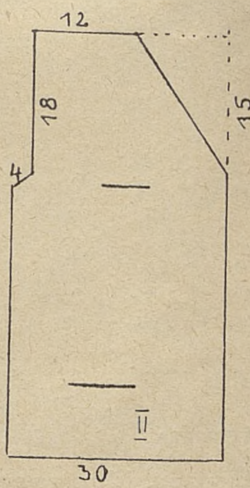


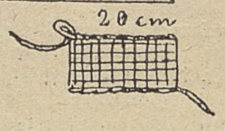
83.

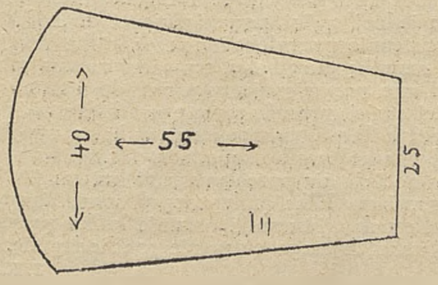


84.









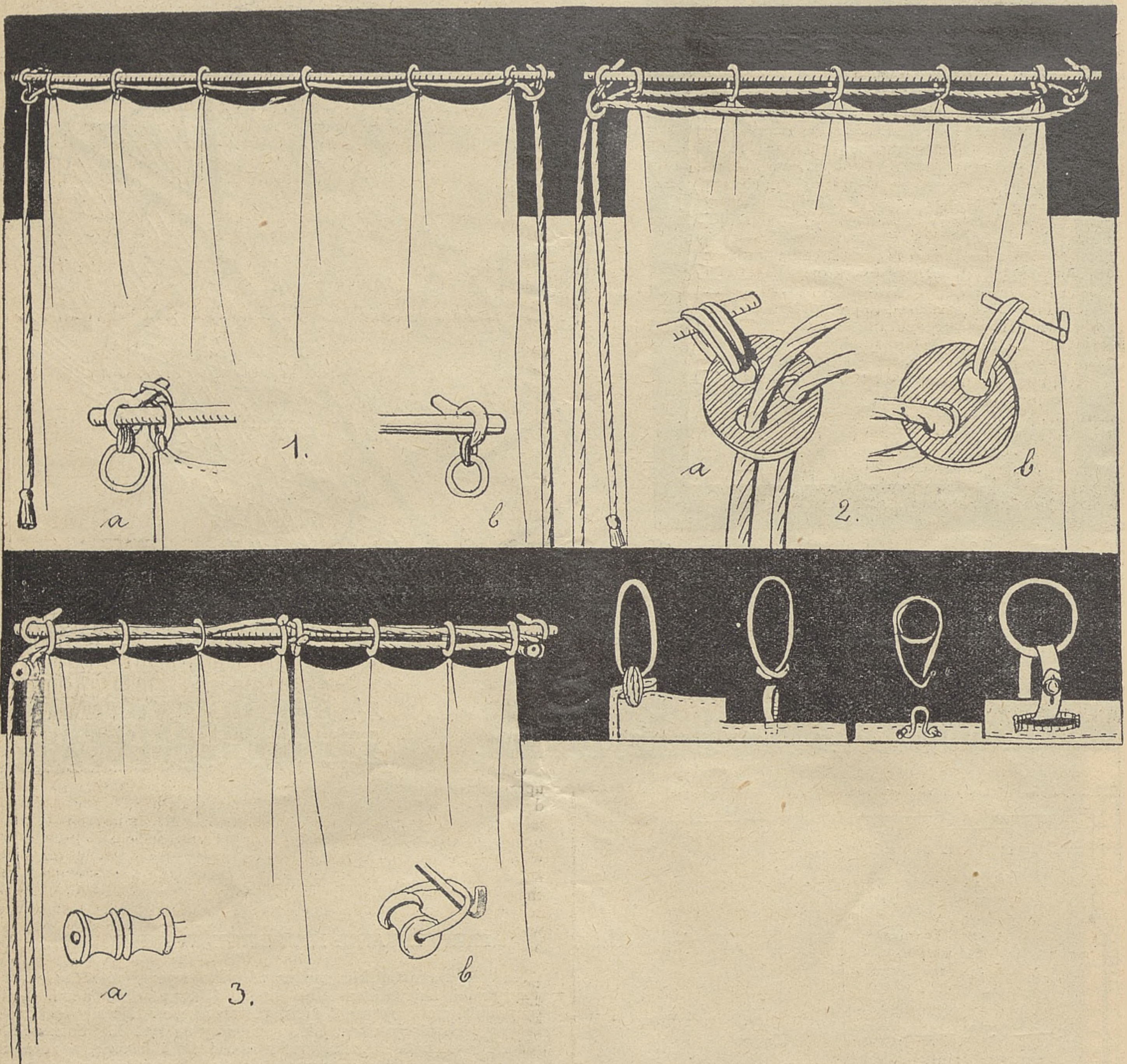
PRZEWLEKANIE NA ŚCIEGU TUNETAŃSKIM.

Na ściegu tunetańskim można nietylko wyszywać różne wzory krzyżykami, łańcuszkiem albo innemi ściegami ozdobnemi. Gęste tło podzielone w równą i drobną krateczkę, nadaje się doskonale do przewlekania w ukos, jak to widzimy na rys. 82. Szczególnie pięknie występuje szkocka kratka z włóczki i lacetek, w różnych kolorach harmonijnie dobranych do tła. Technika bardzo łatwa i szybka w wykonaniu.

Wyżej przedstawiona kamizelka dla panów da się bardzo szybko wykonać, gdyż ścieg tunetański postępuje bardzo prędko, a jest tak łatwy, że nawet dzieci bez trudu go się uczą.

Nie możemy podać ilości potrzebnych oczek, gdyż jak już niejednokrotnie zaznaczaliśmy, szerokość i gęstość tkaniny, zależy od grubości włóczki i szydełka i od sposobu szydełkowania, gdyż każda z pań szydełkuje inaczej, jedna gęściej, druga rzadziej. Powtarzamy więc, że należy wpierw wypróbować, ile oczek nam potrzeba zapomocą małego kawałka, jak to pokazujemy na szkicu pleców, I. Po ukończeniu wszystkich części według kroju podanego w szkicach, wyszywamy wzór, przyczem należy uważać, żeby roboty nie ściągać. Najlepiej przyfastrygować każdą część na sztywny papier. Brzegi zeszytych części wykończamy bortą wykonaną ścisłemi oczkami szydełkowanemi wzdłuż. Po każdym rzędzie należy urwać nitkę i zacząć nowy rząd od początku, rys. 83. Wykonania dziurek uczy rys. 84. Przyszywając tę taśmę należy wyciągać ją na karku i wokoło wycięcia, naddać zaś w miejscu, w którem znajduje się pierwsza dziurka u góry. Taśmę można również dorobić wprost do kamizelki, kłując szydełkiem wprost w jej brzegi, przyczem należy regulować potrzebne zaokrąglenia przez odpowiednie dodawanie albo odejmowanie.

Z. KULCZYCKA



STORY DO ŚCIĄGANIA.

Na wiosnę odnawiamy albo odświeżamy firanki, czas więc pomyśleć o sposobie, w jaki urządza się story do ściągania. Jest bowiem dużo pań, które nie umieją sobie z tem poradzić, a niezawsze jest blisko tapicer, który pomoże. Szczególnie na prowincji widuje się często w domach, zresztą starannie urządzonych, zamiast stór kawałek płótna przytwierdzonego wpoprzek okna, co daje wrażenie zaniedbania, tembardziej, że wskutek ustawicznego składania i zawieszania, płótno to nie odznacza się długo świeżością.

Podajemy więc kilka najprostszych sposobów zawieszenia stór.

Pojedyńcza firanka na rys. 1 ściąga się po obu stronach. Najpierw zawieszamy ją na żelaznym drążku i zasuwamy jak daleko ma sięgać. Następnie przywiązujemy sznur w połowie do ostatniego kółka z prawej strony. Jeden koniec sznura przewlekamy przez wszystkie kółka firanki i nakoniec przez osobne kółko przywiązane do haczka, którym jest przytwierdzony drążek. Do tego haka przytwierdzamy również ostatnie kółko firanki, rys. 1 a. Drugi koniec przewlekamy przez kółko przywiązane do drugiego haka, rys. 1 b.

Jeśli chcemy, żeby oba końce sznurka znajdowały się z jednej strony, przewlekamy sznur wiszący na rys. 1 z prawiej strony najpierw przez kółko przy haku a następnie przez takież kółko z lewej strony, rys. 2. Rys. 2 a i b przedstawia bardzo praktyczne krążki z mosiądzu albo porcelany, służące do tego sposobu zawieszania stór.

Nieco trudniej założyć storę z 2 części. Tu znowu zakładamy obie części na drążek i ściągamy zupełnie. Następnie przewlekamy sznur przez kółka jednej części, przywiązujemy do kółka ostatniego (w środku), następnie przewlekamy do kółka drugiej części, przez kółko albo szpulkę przy haku, wracamy znowu przez kółka drugiej części. Teraz przywiązujemy sznur do ostatniego kółka (w środku) drugiej części, przewlekamy przez kółka pierwszej części i nakoniec przez kółko albo szpulkę przy haku, rys. 3.

Praktyczne ruchome kółka albo szpulki uwidoczniają rys 3 a i b. Końce sznurów obciąża się porcelanowemi kutasami.

Powyżej przedstawiamy kilka praktycznych sposobów przytwierdzania kółek do firanek. Pierwsze i ostatnie kółko przyszywa się na ułożony fałd, wskutek czego story nie rozchodzą się.

Z. KULCZYCKA

SPISY DOMOWE *

JAKŻE często słyszy się narzekania pań domu na tłuczenie naczynia, na gubienie powierzonych służbie przedmiotów, na konieczność częstego dokupywania części maszynek kuchennych, pokryw do słoików hermetycznych, kluczy do drzwi i t. p.! Nie spotkałam jeszcze domu, który walcząc skutecznie z nieporządkiem i niedbalstwem służby, miałby dobrze zorganizowane spisy wszystkiego, co zostało złamane, stłuczone czy zgubione. Owszem, dużo spisów widuje się po ścianach i po szafach, ale spisy te leżą zwykle niepoprawiane, niedopełniane, tem samem tracąc swoją aktualność i celowość. Przy pierwszej sposobności pani domu dowiaduje się, że korkociąg został pożyczony i nieodebrany dotychczas, że karafka jest stłuczona już dawno, a jakiejś tam rzeczy „nigdy nie widziałam". Musi skończyć się awanturą, mniejszą lub większą, zależnie od wartości straconego przedmiotu. Często — szczególnie przy zmianie służby — wymówki są niesłuszne; często aż zbyt słuszne, ale nieproduktywne. Służba ma zawsze sposób uniewinnienia się, zaś pani domu jest tu zupełnie bezbronna.

Podam poniżej schemat spisów, który od szeregu lat daje mi zupełne zadowolenie. Spisy prowadzone tym sposobem muszą być: 1) dokładne, t. zn. z zaznaczeniem braków, pęknięć i poszczególnych części danego przedmiotu; 2) musi być „odebrany" i podpisany przez osobę, która odtąd za dane przedmioty odpowiada; 3) musi być stale i systematycznie dopełniany.

Przystępując do robienia spisu, zaczynamy od bardzo dokładnej segregacji przedmiotów, tak aby w odpowiedniem pomieszczeniu czy szafie znajdowały się tylko rzeczy konieczne do użytku. — Cały szmelc oraz to wszystko, co nie jest potrzebne, powinno być przeniesione do specjalnego składu czy szafy, by nie zabierało miejsca. Ileż bowiem znajdujemy po kuchniach i kredensach nożyków zapasowych do maszynek dawno popsutych, ile naczynia niezdatnego do użycia, nadszczerbionych szklanek, których nigdy się nie podaje! To wszystko bezwzględnie usunięte być powinno, ewentualnie przeznaczone do „gorszego" użytku.

Po dokładnem posegregowaniu przedmiotów, które mają być spisane w tej samej serji (na jednej kartce), przystępujemy do odnotowania ich ilości i stanu. Dla kontroli i zabezpieczenia się przed owem „już dawno" piszemy uwagi tego rodzaju przy poszczególnych pozycjach: „zdatny do użytku", „nadpęknięte", „bez uszka", „bardzo zniszczone", „tylko na większe przyjęcia", „na codzień" i t. p. Im dokładniejsze będą te uwagi, tem łatwiejszą mamy pracę przy sprawdzaniu; wytłumaczą nam one również, wyraźniej niż pamięć, zbyt prędkie podług nas zniszczenie nadwątlonego już przedmiotu.

Przykład 1.

EGZEMPLARZ KUCHNI.

Spis ruchomości znajdujących się w kuchni.

Nr. porządkowy	Ilość	Nazwa	Uwagi
1	2	Stoły z surowego drzewa .	
2	2	Krzesła	
3	1	Stolnica	
4	1	Wałek do ciasta . . .	
5	1	Zegar ścienny	Kupiony V.1930
6	1	Klucz do nakręcania zegara .	
7	1	Maszynka uniwersalna „Jupiter"	21 części
8	2	Sita włosiane	w tem jedno br. zniszczone
9	2	Wiadra emaljowane . . .	
10	3	Brytfanny miedziane . .	
11	1	Miska dla psów . . .	
12	15	Rondli aluminjowych . .	+ 1 AD V.30
13	6	Pokryw różnych do rondli .	
14	3	Formy do kremów . . .	
15	5	Talerzy porcelanowych . .	— 1 Kuch. VII. 30
16	8	Garnków kuchennych . .	+ 2 AD VI. 30
17	4	Szklanki	— 2 Kazia
18	1	Donica gliniana	+ 1 „
		i t. d., i t. d.	

podpis (—)

Oddane kucharce dnia 30/VII 1930 roku.

Odpis (1 egzemplarz u pani domu w specjalnej tece).

O każdej stracie trzeba zaraz powiedzieć, w przeciwnym razie wszelkie reperacje i dokupywania będą robione na koszt kucharki.

Jak wyżej zaznaczyłam, spis podpisany być musi przez osobę, która zań odpowiada. Stawia się datę i podpis. Od tej pory niema wymówki, że filiżankę zabrała do siebie praczka, a nóż kucharka. Podpisany odpowiada za spis wyłącznie i w każdym szczególe.

Każda wiadomość o stłuczeniu czy innem zniszczeniu powinna zasadniczo automatycznie wpływać do pani domu, jako do poszkodowanej bezpośrednio. Dużo mówi się o tych „strasznych wandalach" (służba), o kryciu swej niezgrabności i nieporządku, o dużych stratach, które stwierdza się nieraz po roku. Niejedna pani domu przy jakiejś większej stracie grozi służącej potrąceniem jej z pensji „za następnym razem". Inni potrącają połowę wartości, robiąc to choćby dla formy i dla zasady. Doszłam do przekonania, że do niczego takie postępowanie nie prowadzi, powoduje odkładanie przyznania się do uczynionej szkody do „lepszych czasów, kiedy pani będzie dobrze usposobiona" i nie wpływa bynajmniej na większą ostrożność i dbałość o dobro pańskie.

Zdaniem mojem, dziewczyna tłukąc coś, powinna mieć głębokie przekonanie, że: 1) z pensji nie będzie miała potrąceń, ale że wyrządziła stratę, szkodę i przykrość, że więc „dobrze wychowany i uczciwy człowiek musi przeprosić"; 2) że swojej niezgrabności nie ukryje, choćby szkliwo wyrzuciła do śmieci, bo prędzej czy później spis wykaże brak; 3) że lepiej wobec tego odrazu przyznać się pani i usłyszeć mniej lub więcej wyrozumiałą odpowiedź.

Przykład 2.

EGZEMPLARZ GOSPODYNI.

Spis kluczy powierzonych gospodyni.

Nr. porządkowy	Nazwa	Uwagi
1	Spiżarnia wejście . .	
2	„ drzwi . . .	
3	Drzwi wejściowe zamek .	
4	„ „ zatrzask	
5	Pralnia drzwi . . .	
6	Pokój gospodyni drzwi .	
7	„ „ szafa	
	i t. d., i t. d.	

podpis (—)

Oddane gospodyni dnia 30 lipca 1930 r.

Odpis (1 egzemplarz u pani domu w specjalnej tece).

O każdej stracie trzeba zaraz powiedzieć, w przeciwnym razie wszelkie reperacje i dokupywania będą robione na koszt gospodyni.

Spis musi zaraz „od ręki", wykazać różnicę, a więc: „—1 (Kazia VII. 30)". To samo przy dokupywaniu czegoś, tylko ze znakiem +, ale również z datą. I data i imię tego, kto zniszczył daną rzecz, powinny być koniecznie zanotowane. Po pewnym czasie zwrócić można uwagę dziewczynie, iż np. w przeciągu miesiąca zniszczyła tyle a tyle rzeczy, podczas kiedy imienia jej koleżanki, niema ani razu w spisie.

Gdyby do jakiejś szkody służąca nie przyznała się wcale (będąc uprzedzoną o rygorach zawartych w zasadniczej uwadze przy każdym spisie), wówczas dopiero z całą bezwzględnością potrącałabym jej całą wartość zniszczonego przedmiotu: „nie umiesz nawet przeprosić, to zapłać". Taką uwagę i potrącenie z pensji (prawie pół wynagrodzenia miesięcznego) zastosowałam tylko jeden raz kilka lat temu: to wystarczyło dla nauki wszystkich pokojowych i kucharek, jakie od tej pory miałam. Gdy często domownicy słyszą, że przeproszenie za wyrządzoną stratę to uczciwe załatwienie sprawy, wreszcie sami zaczynają to rozumieć. Mam na to dowód, gdyż o ukrywaniu czegoś od tej pory niema mowy.

Przy zmianie personelu domowego ustalić trzeba niewzruszoną zasadę, że ani pieniędzy, ani świadectwa nie oddaje się przed oddaniem w porządku spisu następczyni. Gdyby po tej końcowej likwidacji okazały się braki, do których nie przyznał się nikt, znów bezwzględność w potrąceniu z należnej wypłaty będzie logiczna, słuszna i pedagogiczna dla nowej służącej. Ta ostatnia „odbiera" i podpisuje spis przejrzany przez panią domu, dopełniony poprawkami i uwagami, i przepisany na czysto, w razie gdyby był brudny czy zniszczony.

1) Prowadząc spisy domowe powyższym sposobem, uniemożliwiłam raz na zawsze mówienie: „zanim nastałam" lub „to tamta stłukła, a pani dopiero teraz widzi".

2) Służba uczy się dbać o powierzone sobie rzeczy, by owych poprawek imiennych było jak najmniej; ambicja swoje robi i każdy się pilnuje, bo nigdy miłe nie jest konieczne przyznawanie się do popełnionej niezgrabności. Nie zawsze łzy wylewane z tej okazji są nieszczere; przeciwnie, jakże często trzeba powiedzieć: „nie płacz przecież o taką drobnostkę".

3) Każdej chwili zdać sobie można sprawę ze stanu i ilości posiadanych przedmiotów, co zapobieże skargom w rodzaju „niema w czem gotować" lub „niema czem naczynia wytrzeć".

4) Jednocześnie spis daje możność racjonalnego uzupełniania dobytku domowego, z uwzględnieniem rzeczy pilnych i mniej pilnych.

5) Spisy przechowywane przez parę lat dają obraz rzeczy trwałych, mocnych i praktycznych, które mało się niszczą. To może zabezpieczyć na przyszłość przed złem kupnem.

6) Już bardzo dokładnie zdajemy sobie sprawę, ile prawdy jest w naszych i innych pań skargach na „straszne" tłuczenie i niszczenie. Osobiście wyciągam z przeglądania kilkuletnich spisów bardzo dodatnie wnioski: a) nigdy nic nie „ginie"; b) niszczą się przed-

Dok. art. na str. 144

* Przedruk z czasopisma: „*Organizacja Gospodarstwa Domowego*" nr. 2, r. 1931

DOBRA GOSPODYNI

popiera wyroby krajowe

INSTYTUT GOSPODARSTWA DOMOWEGO Warszawa, ul. Willowa 1 m. 6, zawiadamia niniejszem, że rozpoczął już swoje prace, zmierzające do usprawnienia Gospodarstwa Domowego. — Podejmuje więc badania nad wartością i celowością używanych w gospodarstwie domowem przyborów i urządzeń, oraz konserw i preparatów spożywczych jak również chemikalij.



1175

Instytut na życzenie wytwórcy, po uznaniu przedmiotu lub produktu za odpowiedni, wydaje wzorem podobnych Instytutów zagranicznych t. zw. cechę, t. j. prawo umieszczenia na przedmiocie znaku, potwierdzającego przychylną opinję Instytutu; o wydaniu cechy, będą zawiadamiane Panie Domu przedewszystkiem za pośrednictwem organu Instytutu „Organizacja Gospodarstwa Domowego", a także i innych pism fachowych, pozatem wydawane będą specjalne spisy przedmiotów cechowanych, które w dużych ilościach będą rozsyłane po Polsce.

W nadziei, że akcja Instytutu zwróci uwagę Panów Wytwórców jako bezpośrednio zainteresowanych w uznaniu i rozpowszechnieniu tego uznania pomiędzy Ich odbiorcami, komunikujemy, że na życzenie służymy w tej sprawie wszelkiemi wyjaśnieniami.



1073

KILKA SŁÓW O KAWIE (c. d.). Do przyrządzania kawy używamy najrozmaitszych systemów maszynek. Zasadą wspólną wszystkim rodzajom jest filtr przepuszczający ukrop możliwie powoli przez miał kawowy. Istnieją maszynki o jednym filtrze, częściej spotyka się 2 sitka, gdyż używanie cykorji albo ponowne zaparzanie miału raz użytego jest bardzo powszechne. Na niektóre sitka umieszcza się krążek papieru czyli bibuły do filtrowania. — U nas używa się najwięcej maszynek systemu t. zw. karlsbadzkiego, składających się z dzbanka i dwóch filtrów.

Do przyrządzania kawy na sposób paryski używa się maszynki Foresta. Dawny sposób zaparzania kawy polegał na tem, że miał kawowy sypało się na wrzące mleko i po jednorazowem zagotowaniu odcedzało przez sitko. W maszynce Foresta zalewa się miał wrzącem mlekiem i następnie stłacza odpowiednim przyrządem — tłoczkiem, zaopatrzonym w sitko.

O kremach w świetle nowoczesnej wiedzy

W dziedzinie pielęgnowania cery i skóry ciała, mają kremy wybitnie skuteczne działanie, o ile krem bywa jakościowo i indywidualnie do danych potrzeb ściśle dostosowany i racjonalnie zastosowany. Dotychczasowa wytwórczość nie uwzględniała konieczności indywidualizowania, dziś zaś wystrzegamy się uniwersalnych kremów, ponieważ wiedza wykazała ich bezcelowość. Byle tłuszcz z zapachem nie zasługuje na miano kremu. I tak np. prawidłowa cera nie wymaga zbytniego natłuszczania a tylko odsłonienia młodocianej warstwy naskórka, co osiąga się matowym kremem „Mira" Dra Lustra. Wiotczejąca, sucha cera wymaga zasilenia jej ożywczemi składnikami, przy pomocy gorących spłókiwań i naparzań nad parą. Do tego znów celu nadaje się jedynie ożywczy krem „Oxa" Dra Lustra. Wykwintny, acz tani krem „Ultrasol" stanowi tarczę ochronną przed zmianami atmosferycznemi, wilgocią, zimnem, słońcem, podczas wysiłków tanecznych i sportowych. Stąd nazwa jego: krem sportowy. Dla tłustej cery nadaje się wyłącznie mleczko „Lityna".

1173 Dr ZENON B.

Kawę turecką gotuje się w naczyniu metalowem o szerszem dnie a węższym otworze. Długa rączka i dzióbek ułatwiają nalewanie do małych filiżanek. Na Wschodzie nie odcedza się kawy tylko pije wraz z osadem, bardzo drobno zmielonym, wskutek czego napój jest bardzo mocny i nie da się pić w większych ilościach.

Sympatyczną nowością są filtry, stosowne na filiżankę. W wykwintnych restauracjach i kawiarniach dostaje się kawę świeżo zaparzoną w takim filtrze i wraz z nim podaną. Daje to gwarancję prawdziwie świeżego naparu, choć filtry te mają tę ujemną stronę, że są metalowe.

Metal bowiem działa ujemnie na smak kawy, której aromat pozostaje najczystszy w naczyniach porcelanowych.

Wspomnijmy jeszcze o maszynkach t. zw. rosyjskich, hermetycznie zamkniętych i ogrzewanych płomieniem spirytusowym oraz o maszynkach elektrycznych, które automatycznie wyłączają prąd, kiedy kawa już jest zaparzona.



1188

Znawcy kawy nie uznają żadnej domieszki ani zaparzania świeżej kawy odwarem miału już raz zaparzonego. Domieszki dodają niepożądanej goryczy, miał zaś raz użyty kwaśnieje szybko.

Rodzaj wody niemało przyczynia się do dobrego smaku kawy. Woda nieco wapienna jest smaczniejsza od miękkiej. Nie powinno się też wody długo gotować, tylko zalać nią kawę, gdy krótko zakipi.

Rzecz jasna, że tylko świeży napar jest smaczny. Jeśli zajdzie konieczność przechowania kawy przez dłuższą chwilę, należy maszynkę szczelnie przykryć i zatkać lejek a następnie umieścić w naczyniu z gorącą wodą, gdyż kawy nigdy nie powinno się odgrzewać.

Kawa z mlekiem nigdy nie będzie tak smaczna jak z dobrą śmietanką, która powinna być możliwie świeżo sprażona a nie odgrzewana.

NA POST. JAJA NA SERZE. Stopić odrobinę masła w rondlu, położyć na dno plasterki twardego twarogu albo sera szwajcarskiego, na to wybić jaja, uważając żeby żółtko pozostało całe i smażyć, aż jaja zetną się dostatecznie.

KRUPKI NA GRZYBKACH Z KARTOFLAMI. Namoczyć na noc grzybki, następnego dnia ugotować z większą ilością wody, osobno ugotować krupy jęczmienne i kartofle pokrajane w kostkę, dodać pieprzu, soli, i listek bobkowy, nakoniec zaprażkę i wymieszać z smakiem z grzybków. Polać masłem albo oliwą ze zrumienioną cebulką.

RYŻ Z RUMIANYM CUKREM. Ugotować ryż na mleku z odrobiną cukru, wanilji, szczyptą soli i kawałkiem masła. Zrumienić łyżkę cukru i rozprowadzić wodą, następnie dodać do ryżu. Ugotowany ryż ułożyć w piramidę na ogniotrwałym półmisku, posypać grubo cukrem i zrumienić w rurze przy silnem gorącu z góry albo rozpaloną łopatką. Podać z konfiturami albo z sokiem owocowym.

BUDYŃ Z JABŁKAMI. Obrać 1 kg jabłek, pokrajać i ugotować z odrobiną wody i 20 dkg cukru. Dla smaku można dodać rumu albo skórki cytrynowej. Jabłka zdjąć z ognia, zanim zupełnie zmiękną. Utrzeć 7 żółtek z 25 dkg cukru, dodać skórkę cytrynową albo pomarańczową, łyżeczkę cynamonu i szczyptę goździków. Dodawać stopniowo 30 dkg tartego i przesianego chleba razowego poprzednio wysuszonego i pianę z 7 białek. Połową masy wyłożyć formę suto wysmarowaną, na to nałożyć jabłka, nakoniec resztę masy. Piec powoli i podać z sokiem albo z bitą śmietaną.

Zwracamy łaskawą uwagę P. T. Czytelniczek na wzory grubo srebrzonych nakryć bardzo praktycznych, firmy Styiplater, Zakopane.

TOWAROZNAWSTWO

Daktyle, są to owoce palmy daktylowej, pochodzące z północnej Afryki. Posiadają znaczną wartość odżywczą z powodu dużej zawartości cukru i tworzą główne pożywienie uboższej ludności Arabji i służą jako pokarm dla wielbłądów.

Zrywa się je w stanie niezupełnie dojrzałym i suszy w słońcu, poczem pakuje się piękniejsze okazy w gronkach w odpowiednie pudełka, w których dochodzą do nas, błyszczące i niepogniecione. Lichsze owoce rozsyła się w skrzynkach, beczkach lub prasowane w duże kostki.

Dobre daktyle powinny być pełne, gładkie i niezbyt ciemne. Pomarszczone i suche są bez wartości. Rozduszone i ciemne są przejrzałe i psują się łatwo. Najlepsze daktyle pochodzą z Tunisu; aleksandryjskie duże i nieco mniejsze berberyjskie są lepsze jak arabskie.

Figi dojrzewają w krajach śródziemno-morskich i w Kalifornji. W stanie świeżym są białe, fjoletowe albo czerwone, smak ich jest słodki, trochę mdły. Sprowadzamy je w stanie suszonym, pakowane i prasowane w pudełkach jako figi deserowe. Skórka tych fig, przeważnie smyrneńskich, jest niezbyt gruba i gładka. Greckie figi sprzedaje się nanizane na sznurki albo słomki. Niektóre gatunki wysyłają w koszykach i beczułkach, najtańsze zaś są t. zw. figi workowe.

Figi powinny być jędrne ale nie twarde ani suche. Liche owoce posypuje się często mąką, żeby pokryć ich niepokaźność. Należy się więc wystrzegać zbyt białych okazów. Biały nalot cukrowy łatwo odróżnić od mąki. Między figami zdarzają się owoce trocinowate, spleśniałe albo sfermentowane, a czasem zaatakowane przez robaki.

W krajach gorących dojrzewają figi przez rok cały, widzi się więc figowce kwitnące, pokryte owocami we wszystkich fazach rozwoju. W krajach położonych nieco dalej na północ, figowce tracą liście na zimę i owoce niedorozwinięte spoczywają, jeśli zaś mróz ich nie dotknie, dojrzewają w lecie. Wskutek tego spotykamy świeżo suszone figi w handlu w ciągu całego roku.

Winogrona zaliczamy również do owoców południowych, gdyż hodowane u nas w kraju nie mogą pokryć nawet małej części zapotrzebowania i nie mogą się równać w smaku z winogronami dojrzewającemi w cieplejszych krajach.

Już z początkiem czerwca można dostać winogrona algierskie; w lipcu sprowadzamy włoskie i austrjackie. Węgry eksportują w sierpniu. Jesień i zima obfitują w winogrona hiszpańskie, duże i słodkie. Francuskie winogrona dojrzewają przeważnie późną jesienią.

Zbyt wiele miejsca zajęłoby omówienie poszczególnych gatunków. Z powodu wysokiej ceny należą winogrona do owoców luksusowych i nie mają znaczenia dla szerszych warstw ludności, choć właściwości lecznicze przemawiają za ich obfitem spożywaniem.

Rodzynki są to suszone winogrona. W handlu znamy głównie deserowe Malaga, duże i ciemne, suszone zazwyczaj na szypułkach, sułtanki duże żółte bez pestek, korynckie drobne i ciemne, również bez pestek, pochodzące z Grecji i Wysp Jońskich i smyrneńskie, słodkie i jasne. Prócz Grecji i Azji produkują rodzynki w dużych ilościach Turcja, Hiszpanja, Kalifornja i Chile. Produkcje innych krajów nie odgrywają większej roli na rynku zbytu.

Suszenie rodzynek następuje w trojaki sposób. W krajach ciepłych suszy się rodzynki w promieniach słonecznych, bez wszelkich innych zabiegów. Gdzie jesienne słońce nie grzeje dość silnie, trzeba się uciec do sposobu pozbawiającego jagody woskowej powłoki, utrudniającej szybkie parowanie a zatem osuszenie. W tym celu płócze się grona we wrzącym ługu, a następnie w czystej wodzie. Rzecz jasna, że jagody w ten sposób spreparowane, zachowują często smak ługu, toteż powinno się rodzynki starannie płókać przed użyciem. Płókanie jest także dlatego wskazane, że podkład, na którym suszy się rodzynki, niezawsze jest apetytny. Używa się bowiem w niektórych krajach suchego nawozu oślego, na którym rozkłada się winogrona a niekiedy i figi, do osuszenia.

Trzeci sposób polega na suszeniu w piecu, praktykowany we Francji, gdzie grona dojrzewają później, a jesienna pogoda rzadko pozwala na suszenie w słońcu. Rodzynki tego rodzaju są mniej wartościowe.

Stare rodzynki są twarde. Nieodpowiednio przechowane pleśnieją i fermentują. Biaława powłoka niezawsze dowodzi scukrzenia, często jest to pleśń.

Migdały sprowadzamy z Włoch, Hiszpanji, Francji południowej i Afryki północnej, w łupinie lub wyłuskane. Znamy trzy gatunki, o łupinie kruchej, średnio-twardej i bardzo twardej. Prócz tego rozróżniamy migdały słodkie i gorzkie, ostatnie są drobniejsze.

Dobre migdały są białe w przełomie mają cienką skórkę i smak słodki. Nie powinny być zmieszane z połamanemi i z cząstkami skorupek. Stare migdały są żółte w przełomie i stęchłe albo zjełczałe w smaku. Migdały fałszują pestkami śliwek, brzoskwiń i moreli, można je łatwo rozpoznać, gdyż są mniejsze, gorzkawe i nieco odmiennego kształtu.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

ODPOWIEDŹ ZBIOROWA. — Młody, wykształcony Polak z Legji Cudzoziemskiej, Richard Havlé 5747 Legionaire 1 cl. 2-me Regiment Etranger, C. H. R. Bureau Materiel, Meknes, Maroc, pragnąłby znaleźć w Polsce „chrzestną mateczkę", by zapomnieć o dręczącym go „cafard'zie" i bardzo prosi o listy.

OSZCZĘDNA. — Wszelkim uciążliwościom szycia garderoby w domu zapobiegnie kupno elektrycznej maszyny marki Singer. Jest to idealny wynalazek chroniący nogi i ręce od przemęczenia, tak, że szycie staje się miłą rozrywką. Czy można dostać na raty, nie wiemy, ale najprawdopodobniej zależy to od umowy z firmą, w której Pani nabędzie maszynę.

WARSZAWIANKA. — Uwagi Pani na temat naszej stałej akcji w sprawie popierania wyrobów krajowych szczerze nas cieszą. — Od zrozumienia ważności tej kwestji przez kobiety, zależy poprawa naszych stosunków gospodarczych. — Rękawiczek krajowych mamy poddostatkiem, można je mieć u każdego rękawicznika i zamówić z każdego rodzaju skórki. Pani, jako Warszawianka, zna zapewne fabrykę rękawiczek A. Kowalskiego, Warszawa, ul. Solec 107. Firma ta wyrabia również świetne rękawiczki do prania w wodzie, bez których trudno się dziś obejść.

SCABIOZA. — Szkoda, że nie podała Pani imiennego adresu, gdyż odpowiedź byłaby obszerniejsza, aniżeli w druku. — 1. Zgrubienie stawów, po przebytem zapaleniu stawów, usunąć się nie da. Można tylko zapobiec dalszemu grubieniu odpowiednią szczepionką. — 2. Operacja lub pewne zapobiegawcze środki, co można osądzić dopiero po zbadaniu naocznem. — 3. Najczęściej nie; z biegiem lat same giną, zwłaszcza przy stosowaniu gimnastyki, masażu i t. p. — 4. Zapewne jest Pani brunetką i dlatego pigmentacja sprowadziła ściemnianie, które nie jest od wieku zależne. Z reguły zmienić się nie da. — Adres podamy telefonicznie, zatem dyskrecja, o którą idzie, będzie w zupełności zachowana. Na razie podajemy tylko tyle, że mieszka we Lwowie.

STAŁA CZYTELNICZKA. — W wieku Pani często zdarzają się podobne przypadłości skóry. Proszki i spirytusy, o których Pani wspomina, zniszczą szybko cerę, więc ich nie polecamy. W „Świecie Kobiecym" był artykuł o pielęgnowaniu tłustej cery oraz wągrów. Znajdzie w nim Pani wyczerpujące objaśnienia i nieszkodliwe recepty. Ale najlepiej byłoby udać się do lekarza o poradę. Jest Pani za młodziutka, by móc prowadzić leczenie na własną rękę.

P. HALA D. Z LUBLINA. — List Pani odesłaliśmy adresatce, która poleciła odpowiedzieć co następuje: udzieli informacyj chętnie, ale tylko listownie, gdyż treść nie nadaje się do druku. Adres pani A.: Warszawa, Piękna 11, m. 13.

SYMPATYCZKOM I SYMPATYKOM LEGJI CUDZOZIEMSKIEJ W AFRYCE. — Matka jednego z Legjonistów, pani P., zamieszkała we Lwowie, zjawiła się w naszej redakcji i udzieliła następujących wiadomości: wszystkie paczki wysyłane do jej syna dochodzą w całości, nienaruszone. Wysyła paczki pocztą, kupuje adresy przesyłkowe zagraniczne, składające się z 3 części, jedną adresuje po francusku, inne po polsku. Na każdej pisze: podarunek, a na pakunku u góry. Pani P. niema słów uznania dla serc Polek i wdzięczności za niesioną pomoc Legjonistom. Zachęca gorąco do wysyłek świątecznych i cytuje słowa syna, czem są dowody pamięci dla nich wszystkich, tęskniących do kraju, mowy ojczystej i dobrego słowa.

SPISY DOMOWE

Dok. art. ze str. 141

mioty w złym gatunku i tanie, których nie warto było i na przyszłość nie warto będzie kupować; c) tłuką się szkła i porcelany tanie, zaś rzeczy cenniejsze, jak wazy, kryształy i t. p. — nigdy.

7) Najcenniejszym wnioskiem ogólnym jest dla mnie przekonanie, że systematyczne czuwanie nad spisami rozbudza uwagę i staranie u domowników, im dając sposób wyjścia w razie przypadku, mnie — pewność, że sprzęt domowy nie „rozłazi się" przez własne niedbalstwo.

ANNA OSTROWSKA

Redaktorki: **Konstancja Hojnacka, Wanda Tomaszewska**
Wydawca: B. Połoniecki, Lwów. — Odp. red.: Wł. Słowik. — Adres Redakcji i Administr.: Lwów, Chorążczyzna 27; Warszawa, Wilcza 3
Telefon administracji: 4-32 Drukarnia Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Tel. 85-16 Telefon redakcji: 48-34

POPIERAJCIE WYROBY KRAJOWE!

MAJOLA

PERFUMY I WODY KWIATOWE MAJOLA

O PRZEŚLICZNYM ZAPACHU:

BELLA, BELLES FLEURS, BEZ, KWIATY HIMALAYA

W RÓŻNYCH FLAKONACH I CENACH





1202

PUDRY MAJOLA

W PROSZKU I PRASOWANE, DOBRZE PRZYLEGAJĄCE

ZNANE W CAŁEJ POLSCE MYDŁO

TRIUMF MAJOLA

BARDZO ŁADNE I MOCNO PACHNĄCE

ŻĄDAĆ W PERFUMERJACH I SKŁADACH APTECZNYCH



Ona: Przekonuję się, że wszystkie moje przyjaciółki miały rację polecając mi zawsze używanie niepospolitego kremu „Kwiat Śnieżny". — Od czasu używania tego kremu, przekonałam się, że inne kremy nie dorównują kremowi „Kwiat Śnieżny", który cudownie działa na upiększenie cery. 1191

Firma **„PAW"** w Łodzi komunikuje, że niesolidni kupcy sprzedawali **Bieliznę** obcych, znacznie gorszych wyrobów pod znaną z dobroci kroju marką **„PAW"** za co pociągnęliśmy tych do odpowiedzialności sądowej.

Prosimy usilnie przy kupnie uważać na naszą markę fabryczną

Polsko-amerykańska fabryka wyrobów jedwabnych

„PAW" w Łodzi

1200

Prenumerujcie i czytajcie „Świat Kobiecy"

PIEGI ŻÓŁTE PLAMY, OPALENIZNĘ USUWA POD GWARANCJĄ aptekarza **JANA GADEBUSCHA**

„AXELA" KREM„
Słoik mały zł **2·50**
Słoik duży zł **4·50**

AXELA" MYDŁO
1 sztuka zł **1·25**
3 sztuki zł **3·50**

Do nabycia w składach aptecznych, aptekach i perfumerjach lub wprost w firmie 1190

J. GADEBUSCH POZNAŃ, UL. NOWA 7 (BAZAR)

DEKORACJE WNĘTRZ

TAPETY — FIRANKI — KLUBY

SALONY — MATERJE MEBLOWE

T. KYSIAK i Synowie Lwów

Sklep pl. Smolki l. 4 — Tel. 40-09

Zakłady Kościuszki 20 — Tel. 19-85

1193

KTO? chce nabyć z wiosną drzewka owocowe powinien się zapoznać z CENNIKIEM drzew i krzewów owocowych

OGRODU POŁONIECKIEGO WE LWOWIE

OGRÓD POŁONIECKIEGO WE LWOWIE

Przystanek autobusów B i C — UL. PONIŃSKIEGO 21 — Przystanek autobusów B i C

WIOSNA 1931 — **WIOSNA 1931**

R Ó Ż E

Róże krzaczaste w najpiękniejszych odmianach i kolorach

1. KOLEKCJA 10 RÓŻ za ZŁ 10

1. Lady Hillingdon, pomarańczowo-żółta
2. Mrs. Herbert Stevens, kremowo-biała
3. Harry Kirk siarczano-żółta
4. Golden Ophelia, złoto-żółta
5. Général Mac Arthur, szkarłatno-czerw.
6. Jonkheer I. L. Monk, śmietankowo-biała, wewnątrz żółta
7. Richmond, szkarłatno-karmazynowa
8. Mons. Joseph Hill., łososiowo-żółta
9. Mme Léon Pain, łososiowo-różowa, z odcieniem pomarańczowym
10. Mme Butterfly, morelowo-łososiowa z odcieniem złoto-żółtym

2. KOLEKCJA 10 RÓŻ za ZŁ 10

1. Louise Cathérine Breslau, rakowo-miedziano-pomarańczowa
2. Mme Édouard Herriot, koral.-różowa
3. Indenpendance Day, pomarańczowo-miedziana
4. Général Jacquiminaut, aksamitno-czerwona
5. Freiburg II, srebrzysto-różowa
6. La Tosca, atłasowo-różowa
7. Geisha, ciemno-pomarańczowa
8. Gloire de Holland, szkarłatno-czerw.
9. Mme Jules Bouché, śmietankowo-biała
10. Georgeous, czerwono-pomarańczowa

Róże wielokwiatowe (Polyantha)

3. KOLEKCJA 10 RÓŻ za ZŁ 12

1. Aeronchen Müller, lśniąco-różowa
2. Ellen Poulsen, ciemno-różowa
3. Erna Teschendorff, karmazynowo-czerwona
4. Gruss an Aachen, łososiowo-różowa
5. Jessie, karmazynowo-wiśniowa
6. Norbert Levavasseur, rubinowo-czerw.
7. Orleans-Rose, cynobrowo-czerwona
8. Orange King, pomarańczowo-żółta
9. Rödhätte, wiśniowo-czerwona
10. Katherine Zeimet, czysto biała

4. KOLEKCJA RÓŻ PIENNYCH 10 SZT. ZŁ 45

1. America, brzoskwiniowo-czerwona
2. Admiration, kremowo-różowa
3. Eugénie Boullet, karmazynowo-czerw.
4. Carl of Gosford, karmazynowo-czerw.
5. Freiburg II, srebrzysto-różowa
6. Frau Ida Münch, śmietankowo-żółta
7. Frau Karoline Druschki, śnieżno-biała
8. Gen. Sup. Arnold Jansen, ciemno-karminowa
9. Hugo Dickson, karmazyn.-szkarłatna
10. Mrs. Henry Morse, różowa

5. KOLEKCJA 10 SZT. ZŁ 12

1. Angèle Pernet, kwiat duży pełny miedziano-pomarańczowy
2. Adolf Koschel, kwiat duży pomarańczowo-żółty
3. Beauté de Lyon, kwiat koralowo-czerwony z żółtym
4. Mrs. Wemyss Quin, kwiat duży pomarańczowo-żółty
5. Hugh Dickson, kwiat duży karmazynowo-szkarłatny
6. Souv. de la Malmaison, kwiat cielisto-różowy
7. Heinrich Münch, kwiat bardzo duży, srebrzysto-różowy
8. Paul Neyron, kwiat duży, jedwabisto-różowy
9. Francess Scott Key, kwiat karmazynowo-czerwony
10. Johanna Sebus, kwiat duży, karminowy

6. KOLEKCJA 10 SZT. ZŁ 12

1. Souvenir de Cl. Pernet, kwiat duży, złoto-żółty
2. Constance, kwiat duży, żółty z odcieniem karminowym
3. Superbe, kwiat duży, srebrzysto-różowy
4. Juliet, kwiat duży, pomarańczowo-różowo-złocisty
5. Jean C. N. Forestier, kwiat bardzo duży, pomarańczowo-żółty
6. Hedwig Reichert, kwiat duży, śmietankowo-żółty
7. Louis van Houtte, kwiat duży czerw.
8. Baronne Ad. de Rotschild, kwiat duży srebrzysto-różowy
9. Frau Carl Druschki, kwiat duży śnieżno-biały
10. Eugene Boullet, kwiat duży, karmazynowo-czerwony

W powyżej wyszczególnionych kolekcjach zamieściliśmy najpiękniejsze z istniejących odmian. Prosimy zamawiać nie później jak w marcu, gdyż nie możemy ręczyć czy późniejsze zamówienia będziemy w możności uskutecznić. Spodziewamy się, że nasze kolekcje zarówno dla przepięknych odmian jak i dla niepraktykowanych dotąd niskich cen znajdą wśród amatorów i znawców licznych odbiorców.

Uprzejmą uwagę zwracamy wszystkim zamawiającym kolekcje róż, że może się zdarzyć iż któraś odmiana z powodu złego przezimowania będzie musiała zostać zastąpioną przez inną pokrewną.

D A L J E

Adler, olbrzymia biała dekoracyjna	1,50
Alt Wien, olbrzymia biała kaktusowa Nowość	3,—
Amun-Ra, miedziano-pomarańcz. d.	2,—
Andreas Hofer, żółta obwiedziona pomarańcz. k.	2,—
Arthur Wellt, złoto pomarańczowa d.	1,50
Ballet Girl, kremowo-biała, przewlekana karminowym k. Nowość	4,—
Bartosz Głowacki, łososiowa miedz. d.	1,50
Bourgogne, ciemno amarantowa k. Nowość	3,—
Champagne, olbrzymia złota, nalot lila d.	2,—
Cigarette, biało kremowa i cynobrowa d. Nowość	2,50
Conquest, ciemno-aksamitna, karmazynowa k.	2,—
Demokrat, nankinowa z żółtym k.	1,50
Diana, miedziano-różowa k.	1,50
Dichtertraum, zielono-krem. i różowa d. efekt.	2,—
Dr. Tevis, duża pomarańcz. z lila d.	1,50
Barly Beauty, rożowa, nieco złot. d.	1,50
Elisabeth Papee, kremowo różowa k., bardzo obficie kwitnie	1,—
Enchantress, różowa fryzowana, bardzo ładna	1,—
Engelhardts Liebling, piękna jasnolila k. Nowość	2,50
Ernst von Borsig, żółto lila z miedzianym d.	2,—
Faschingsfee, żółta, końce białe, efekt. d.	1,50
Ferdinand Ball, miedz. czerwona d.	1,50
Nowość	2,50
Frau Frieda Falkenhagen, łososiowo różowa k.	1,—
Fred Lau, piękna miedziano-czerwona, spód karminowy k.	2,—
Fürstin v. Donnersmarck, biało-lila k.	
Gertrud Link, piękna wiśniowa końce płatków złote d.	1,50
Gleisendes Gold, żółto-miedziana i czerwona d.	2,—
Goldener Schatz, złota z pomarańczowym k.	1,—
Goldene Sonne, złota, końce karminowe k.	2,50
Gustav Bornemann, piękna karmazynowa k.	2,—
Herbstkönigin, żółta z miedz. d.	1,—
Hildegunde, różowo-lila, środek kremowy k.	1,—
Hobema, bronzowa z lila, duża d.	2,—
Hoffnung, miedziano-czerwona k.	1,50
Hohes Licht, łososiowo-żółta, olbrzymia d.	2,—
Jubellied, wybitnie miedziana k.	1,50
Insulinde, kwiat koloru star. złota d.	2,—
Kitty Dunlop, olbrzymia ciemno-różowa d.	2,—
Küsse Mich, czerwona, końce płatków białe d. Nowość	2,50
La Lorraine, kolor kwiatu czysto żółty k.	2,—
Lichtenstein, piękna pomarańcz. d.	1,50
Lucifer, pojedyńcza szkarłatna, wewnątrz złota	1,—
Lwowianka, czerwona, złote paski, piękna k.	3,—
Mad. Balachan, duża ciemno-czerw. d. Nowość	2,50
Mevr. Euche de Koy, pomarańczowa z brzoskwiniowym piękna d.	1,50
Milly Rodgers, olbrzymia złota d.	1,50

d = dekoracyjna, k = kaktusowa.

Cena podana przy odbiorze jednej sztuki z jednej odmiany, przy odbiorze 5 sztuk z jednej odmiany 10% opustu

Ekspedycja rozpocznie się z początkiem maja. Zamówienia należy nadesłać wczesną wiosną

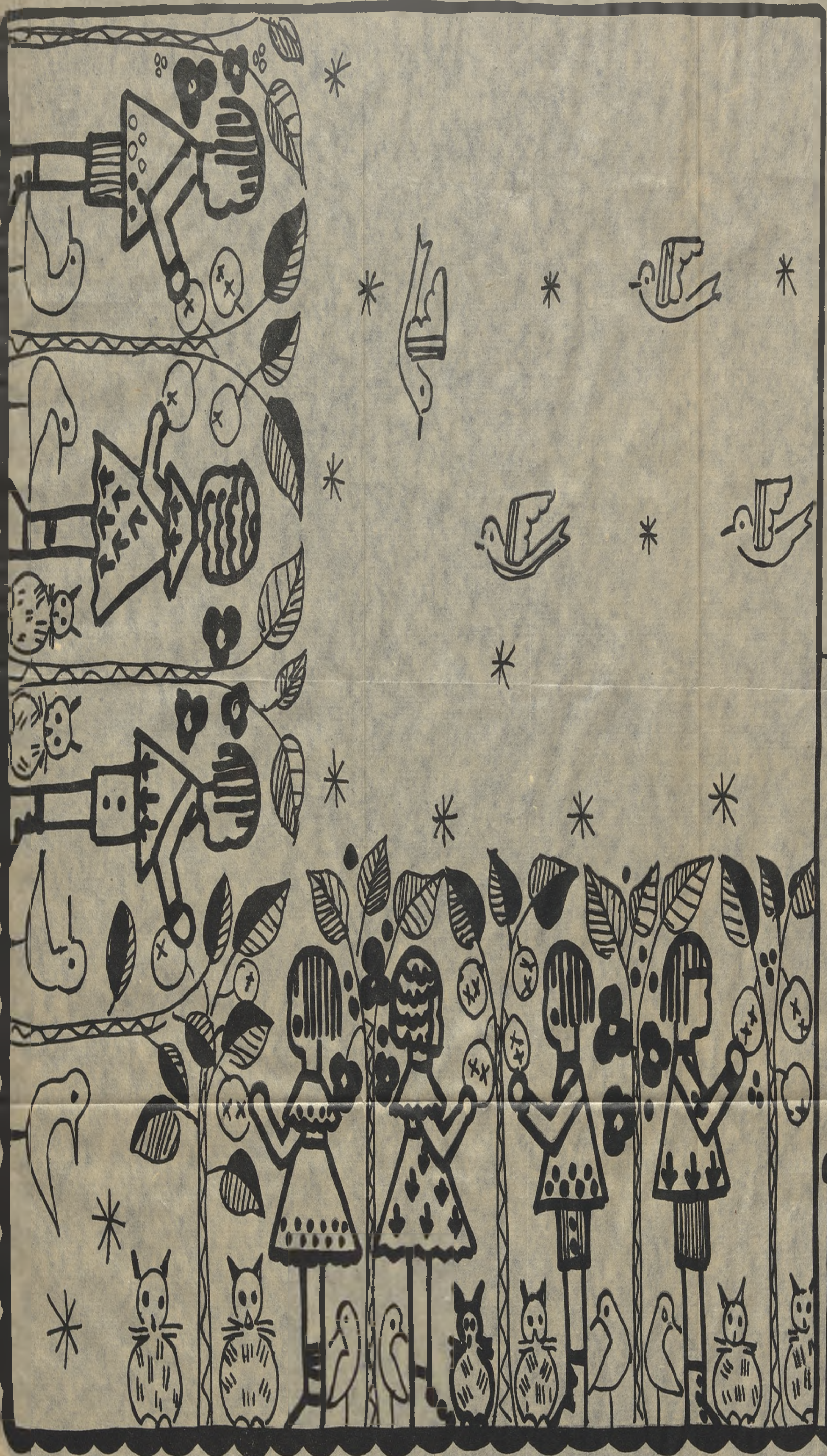
Dodatek
do „Świata Kobiecego"
Nr. 6, rok 1931.

Kapka na łóżeczko dziecięce.

Szlak haftowany (ściegi: wodny, łańcuszkowy, gałązkowy, płaski) Kolory: pomarańczowy, żółty, jasno- i ciemno-zielony, czarny.

Motyw nadaje się również do zdobienia firanki lub obrusa do dziecięcego pokoju.

Proj. A. M.





Dodatek do „Świata Kobiecego"

Nr 6 rok 1931

Kapka na łóżeczko dziecięce.

Szlak haftowany ściegiem wodnym, łańcuszkowym, czyszko- wą, płaską) kolory jarzącym czerwony, żółty, jasno-czerwono- zielony, czarny.

Motyw nadaje się również do zdobienia firanek lub obrusa do dziecięcego pokoju.

Proj. A.M.

